

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 7 KWIETNIA 1928 ROKU

NR 15

TREŚĆ NUMERU: Kręgi na wodzie — *Róża Czekańska-Hejmanow.* Tragedja Ewy — *M. H. Szpyrkówna.* Żywot świętego społecznika — *St. Podhorska - Okołów.* Poezje: „Wiersz o Zmartwychwstaniu” — *Felicja Kruszevska.* Chryzantes i Darja (c. d.) — *Z. Reutt - Witkowska.* Za ramą lustra (nowela) c. d. — *Herminja Naglerowa.* Zwyczaj wielkanocne ludu francuskiego — *Anna Ludwika Czerny.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Z życia muzycznego — *P. L.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S.* Dziesięciolecie Koła Polek, O polskość naszych wnętrz — *Marja Morozowicz - Szczepkowska.* Wielkanoc — *Janina Tuwanówna.* Nakrycie głowy a dach — *Z. Z.* Wychowanie nowoczesnej gospodyni (dok.) — *R. Pelantowá.* Kiedy i jak podawać wina — *J. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Dobre rady. Korespondencje. Dodatek: „Mody i roboty: Letnie sukienki” — *Well.* Koronka bretońska. Trzy nowe wzory dużych poduszek do hall'u lub gabinetu. Dodatek powieściowy: „Niewolnicy” — *Monteiro Lobato* — przekład z portugalskiego *J. Świerczewskiej.* Arkusz wzorów.

Wszystkim Czytelniczkom, Prenumeratorkom i Przyjaciołom naszego pisma przesyłamy serdeczne życzenia: Wesołego Alleluja!

KRĘGI NA WODZIE

Obniżenie się poziomu etyczno-moralnego po wielkiej wojnie, nietylko u nas, ale w całym świecie, jest faktem stwierdzonym i ogólnie znanym.

Zjawisko to nie jest złem przypadkowym, ani powierzchownem: korzenie jego wyrastają z głębokiego podłoża przyczyna historycznych, społecznych, a nawet ekonomicznych. Historia nieraz już notowała podobne okresy powszechnego przytępienia i degradacji moralnej. Nawet staruszek Horacjusz, bezmała dwa tysiące lat temu, poświęcił jedną ze swoich ód zepsuciu obyczajów.

Okresy takie bywały jednak przemijające, — po upadkach następowały wzloty.

Napływała świeża, wartka, mocna fala życia i prostowała skrzywienia, obmywała brudne naleciałości, wydobywała z dusz ludzkich tęsknotę za ideałem, szlachetne dążenie do czystości duchowej, prostoty obyczajów, podniesienia się moralnego.

Nie wolno nam wątpić, że nieśmiertelna iskra Boska tli się i nadal w duszach ludzkich i tylko przez pewien okres przejściowy została przysypana przez gruz i faszynę grubego materjalizmu, wynikającego

z powojennych wstrząsów psychicznych, przewartościowań moralnych i nowego układu sił społecznych. Po każdej burzy ukazuje się wreszcie słońce. Rozkołysane i skłócone fale ducha człowieczego, podobnie, jak wody Nilu, wyrzucają na brzeg życia żyzny muł, gotowy na przyjęcie posiewu nowych twórczych i potężnych wartości duchowych.

A tymczasem należy nam walczyć ze złem. Chwila odrodzenia zdaje się nie być daleka: mnożą się znaki, świadczące o jego zbliżaniu się.

Pewne odłamy społeczne, a we Francji np. nawet młodzież, głośno poczynają się buntować przeciwko giętkości współczesnych sumień i moralnemu oportunizmowi.

I u nas opinja publiczna coraz częściej zaczyna w tej dziedzinie zabierać głos przez usta pisarzy, publicystów, na zebraniach rodzicielskich i stowarzyszeń społecznych, lub też wypowiada się może w sposób trochę naiwny, jednak tak bardzo symptomatyczny, jak manifestacyjne objawy zadowolenia publiczności podczas rozgrywania pewnej sztuki w warszawskim teatrze Letnim.

Stajemy więc do walki ze złem; chcąc jednak odnieść nad niem zwycięstwo, musimy głęboko uświadomić je sobie, poznać do gruntu, nie lekceważyć żadnego z jego objawów.

Nie roszcząc sobie pretensji do rozwiązania owego wielce skomplikowanego problemu, który tu poruszyłam, pragnę tylko na tem miejscu zwrócić uwagę, szczególnie kobiet, na jeden z symptomatów tak powszechnego dziś rozluźnienia się więzów etycznych.

Jest nim pewna dezynwolontura, posunięta aż do cynizmu, jakiś niebywały dotychczas „je-m'en-fichyżm“, jakiś bliźniarsko-kpiarski ton, nadający nieznośne zabarwienie rozmowom, prowadzonym czy to na terenie towarzyskim, czy wśród młodzieży starszej, a nawet młodszej, czy wreszcie w kołach rodzinnych.

Doszło do tego, że o niczem nie potrafimy mówić poważnie. Większa część kobiet umie rozprawić serjo tylko o strojach, mężczyźni zaś jedynie tylko o interesach i sprawach pieniężnych.

Rozumiem, że nudno byłoby na świecie, gdybyśmy, owinięci w togę namaszczenia, pozostawali wiecznie na koturnach. Humor, żart, dobry dowcip — będą zawsze wdziękiem i uśmiechem życia.

Twierdzą jednak, że my, polacy, nie posiadamy zdrowego, tak właściwego np. anglosasom — „sense of humour“, natomiast zawsze gotowi jesteśmy do drwin i szyderstwa.

Zastanówmy się nad rozmowami, słyszaniami na zebraniach towarzyskich, w kawiarniach, a nawet pośród młodzieży, przeważnie męskiej. Toż to królestwo kpin i prześmiewek! Niema rzeczy, osoby, ani zagadnienia, na którym nie ostrzonoby sobie języków. Dla dowcipu, dla błysnięcia tanim paradoksem, dla okazania, że jesteśmy równie „nowocześni“, jak inni, zonglujemy bańkami mydłanemi zręcznie ułożonych frazesów, których pustota i powierzchowność powinna budzić w nas samych tylko niesmak.

Biada temu, kto nieopatrznie zdradzi się z tem, że żywi szacunek dla czegoś, lub kogobądź na świecie!

Kto ośmieli się bronić cudzej sławy — jest nudnym mamutem, za słowo „Bóg“ — jest się bigotem, za słowo „Ojczyzna“ — zacofańcem.

Oczywiście, śmieszna jest tak zwana „grandilo kwencja“, to jest posiłkowanie się pięknie brzmiącymi, wytartymi frazesami, zaczerpniętymi z zeszytów z wzorami kaligraficznymi, w których każdy wyraz rozpoczyna się przez dużą literę. Przyznajmy jednak, że wpadliśmy w przeciwną ostateczność.

Wszak i francuzi uważani są za kpiarzy i „blagueurs“. We Francji bez końca żartuje się na mnóstwo tematów z dziedziny polityki, sztuki, miłości... Istnieją tam jednak wielkie słowa i imiona, przed którymi każdy francuz jest „chapeau bas“.

U nas zaś, w Polsce, szczególnie w ostatnich czasach, poprostu sport robimy z tego, że niema dla nas nic świętego, nic godnego szacunku i miłości.

W wystygłych duszach naszego dzisiejszego ogółu niema miejsca na entuzjazm, uwielbienie, podziw dla cudzego genjuszu, czy bohaterstwa.

Pamiętam dobrze i nigdy nie zapomnę, jakie rozmowy toczyły się np. w Warszawie dokoła wspinałego i cudownego w swem ofiarnem szaleństwie lotu Lindbergha przez Atlantyk. Jedni mówili ze wzruszeniem ramion: „To warjat!“ — drudzy zaś: „To spryciarz! ta „przejażdżka“ grubo mu się opłacała!“

Wierzę, że nic w życiu nie ginie bez śladu. Każdy czyn, każde słowo budzą nowy czyn, nową myśl, stają się nowem ogniwem niewidzialnego, a wszechobejmującego łańcucha przyczyn i skutków. Nasze czyny, słowa, a nawet myśli promieniują i stwarzają dokoła nas atmosferę, którą wchłaniamy w siebie wraz z powietrzem. Oczywiście jest, że atmosfera, której ton nadaje większość, oddziałuje mimowoli i na niechętną jej mniejszość, wciągając ją w orbitę swoich wpływów i zarażając podświadomie ogólnym nastrojem.

Buntują się oni w głębi duszy, jednak nie walczą z większością, w obawie narażenia się na śmieszność. Nie obawiajmy się! Komu w duszy nie wypalił się jeszcze płomień entuzjazmu i podziwu dla wszystkiego, co wzniosłe i piękne, niechaj nie wstydy się dawać tym uczuciom głośnego wyrazu! Przeciwnie, to oni raczej są śmieszni! Oni — większość, o chłodnych i małych duszyczkach, którym nic nie imponuje, nie porywa, ani wzrusza; oni, którzy jeśli nawet zdobędą się na słowo ogniste i zapal, to tylko w tym celu, aby czyjaś dobrą sławę zatruć jadowitą śliną kpin i szyderstwa!

Jeżeli obłudą jest wygłaszanie wzniosłych, a nie szczerych słów, które winny wyrastać kwiatem z podłoża wewnętrznego przekonania, to również obłudą, a w dodatku tchórzostwem będzie, gdy ktoś, w głębi duszy oburzony cynizmem ułyszanego zdania, śmieje się jednak wraz z innymi, ba! sam jeszcze dorzuca kpiarski frazes, pragnąc małodusznie przystosować się do ogólnego tonu rozmowy.

Może kto powie, że w życiu ważnem jest nie to, co się mówi, tylko to, co się czyni. Odpowiem mu na to, że słowo jest również czynem, i, choć na pozór nie ważkie, bywa nieraz brzemienne w poważne skutki.

Nie lekceważmy więc znaczenia słowa: jest ono kamieniem, rzuconym w wodę, a kręgi, tworzące się od rzutu, jakkolwiek wygładzą się na powierzchni, to jednak falowaniem swoim wyrzucą nieraz na brzeg to, co bez owego ruchu pozostałoby w wodzie na zawsze.

Róża Czekańska-Heymanowa.



M. H. SZPYRKÓWNA

TRAGEDJA EWY

A więc nareszcie coś się może zacząć dziać dokoła tragicznej Ewy naszych urządzeń społecznych. Nareszcie!

W zeszłym tygodniu byłam na zebraniu organizacyjnym nowej placówki dla obrony dziecka. Przed kim? Przed najstraszniejszym wrogiem jego maleńkiego istnienia w chwili, gdy samo się bronić nie może, a nikt inny go też nie obroni. W chwili, gdy własna matka pozbawia je życia w mniej lub więcej okrutny sposób — aby ratować własne. I tak się oto dzieje, że najgorszym jego wrogiem wtedy jest ta, dla której powinno być największym umiłowaniem: matka.

Z nagłego rozgłosu, jakim się odbił niedawny mój artykuł, na ten właśnie temat pisany („Kurjer Warszawski”) — z wielu listów, składek i pytań, jakie w powyższej sprawie nadpłynęły: znać, że jest to żywy ból naszych organizacji społecznych, a zwłaszcza kobiecych, że jest to pytanie, dręczące wiele serc — brak, który woła gwałtownie o uzupełnienie. Przecież wprost niewiarogodnym jest, aby olbrzymie miasto nie miało ani jednego schroniska dla matki, z niemowlęciem na ręku wyrzuconej na bruk, w tydzień i coś potem, jak to niemowlę przyszło na świat! Trudno żądać, oczywiście, od szpitala, aby stał się przytułkiem dla osób bezdomnych, a już względnie bodaj zdrowych — mówię, względnie, bo niestety! każda kobieta świetnie rozumie, ileby czasu istotnie matka powinna pozostawać w spokoju i bez troski, aby się wzmocnić i dosłownie stanąć na nogi. U nas stawia ją na nogi zły los — i musi się jakoś utrzymać, aby nie paść pod kołem życia i nie zostać stratowaną do reszty. Ale jakim kosztem to się dzieje? To inna sprawa!

I otóż w zeszłym tygodniu odbyło się zebranie inauguracyjne związku kobiet, które postanowiły się zrzeczyć same, z dobrej woli, nie czekając, aż prawo czy magistrat przyjdzie nareszcie do rozpatrzenia problemu tragicznej Ewy. I nie żałuję, że na niem byłam. Przeciwnie, żałuję zgoła czego innego: że mianowicie zebranie takie nie mogło się odbyć w ogromnej sali, gdzieby przyszły tysiące kobiet, i żeby nadto na oknach tej sali stały głośniki, któreby na całą Polskę powtarzały mosiężną gardzielą, po stokrót potężnym głosem, zbyt może nieśmiało, zbyt nieświadomie swojej wagi słowa, które tam padały. Słowa-dokumenty, słowa-oskarżenia, słowa, słone łzami, słowa, czerwone krwią.

Co wiemy, biorąc powszechnie, o tragedji nieślubnej matki w Polsce? Co wiedzą o niej nawet te najlepsze, najliberalniejsze kobiety, którym wielkie serce pozwala, ba! nakazuje przekraczać zakazaną

kresę, dzielącą czarne i białe owce na dwa odrębne, nieomal wrogie obozy?

Nic, albo prawie nic. I właśnie dlatego, że wiedzą tak mało: spotkał ongiś słynną książkę Żeromskiego taki ostracyzm ze strony prawomyślnego ogółu. Lansować takie ideje! Pisać o takich rzeczach! Podawać ludziom solidnym pod oczy takie obrzydliwe okropności! Genjalność twórcy na tem właśnie polega, aby tak niemiłosiernie — tak jaskrawo przed oczy, niewidzące dotąd, rzucić krwawy film tej, czy innej tragedji: że aż oczy te roztworzą się szeroko w grozie i ohydzie — i mimowoli odwróca, aby oszczędzić sobie widoku. Ale przez ten krótki moment straszliwy obraz już zostanie włączony do świadomości, już utonie gdzieś w ciemnej głębi rozszerzonej zrenicy — i wypłynie w mózgu fermentującym spokój i sumienie obrazem. Człowiek, jak zbrodniarz do miejsca zbrodni, powróci do męczącego problematu... aby się bronić. Będzie napadał na książkę i na autora, będzie dowodził jej i jego złych, potwornych, niedopuszczalnych tendencyj, będzie usiłował wypytać innych, czy i oni tak samo myślą — napróżno! Każdy taki problemat, poruszony genialnym piórem, to ziarno fermentu, rzucone do prąsnej dzieży powszedniego życia. Błogi spokój pierzcha: zaczynają się dziać jakieś podświadome, burzące przemiany, na powierzchni życia wypryskują raz poraz nieznanne dotąd bańki ukrytych konfliktów — i w końcu stwarza się coś, co bez tego nie doczekałoby życia, i co stanowi mianowicie przeciwwagę dla genialnie zobrazowanego zła.

Jakież jest zasadnicze zło w problemacie nieślubnej matki, abstrahując od strony ściśle etycznej?

To, że nie ma możliwości wychować sama dziecka. Że ma dwie drogi: albo pozbyć się go w jakikolwiek żywy sposób, (a czasem, niestety! często, i w sposób... nieżywy), albo nie pozbywać się i mieć, jak to się mówi, ręce związane i perspektywę nieprawdopodobnej poniewierki, w której wyniku dziecko w 50% samo i tak umiera.

Cóż więc ma robić, licząc, że niekoniecznie można polegać na jej wyrobieniu etycznym, a że faktycznego sposobu i rady niema — i nadto, że niema tego naturalnego motoru, jaki w miarę obcowania z dzieckiem w matce wzrasta i staje się poprostu motorem samym jej istnienia: miłości macierzyńskiej?

O tej miłości macierzyńskiej na zebraniu były mówione rzeczy przedziwne. Pokazuje się z nich, że istnieje ona bezwzględnie — poza patologicznymi wypadkami — w każdej, najgorszej nawet, najniższej moralnie uświadomionej matce. Tylko, że jest jakgdyby —

w załączku, który w tej sferze rzadko się rozwija przed narodzeniem dziecka. Natomiast rodzi się w miarę obcowania z małym. Dlatego, jeżeli matka przetrwała pierwsze dni — przetrwa i dłużej. Ale te pierwsze dni tułaczki po bezlitosnym mieście są tak straszne, że mało która wytrzymać może — i tu właśnie następuje krwawa Golgota kobiety, kończąca się zbrodnią, po której nieraz trafia do kryminału. A jakie następstwa pedagogiczne ma dla kobiety kryminał, nie potrzebujemy chyba znowu podnosić: jest uniwersytetem zbrodni, jeśli ulica jest jej szkółką.

Pierwszym impulsem pań, które założyły towarzystwo dla ochrony dzieci niesłubnych, był dziwny fakt, w który narazie wierzyć nie chciały: że te okrzyknięte naogół za wyrodne matki, oddające fabrykantkom aniołków lub podrzucające pod parkan swe dziecko: nie są wyrodnymi matkami. Bynajmniej; są tylko zagnanem przez życie w matnię, osaczonym przez prawo i opinię zwierzęciem, które innego wyjścia, dosłownie, nie ma. Dlatego, kiedy proponowano im, że się dziecko odda tam a tam i utrzymywać będzie: zgadzały się bez protestu. Sądono, że z obojętności. A oto, w miarę praktyki, wykryła się rzecz dziwna: wtedy, gdy poraz pierwszy, w braku innego możliwego załatwienia, zaproponowano, żeby zostawiła dziecko przy sobie, a że zato będzie dostawała zapomogę pieniężną. Stało się to, bo miejsce, gdzie miano oddać niemowlę, narazie nie było do wzięcia.

I, o niespodzianko! Wyrodna matka padła do stóp opiece i niejako oszalała z radości! Wykryło się, że o niczem innym nie marzyłyby nigdy, że tylko mówić o tem nie śmiała, że takie szczęście wydawało się jej zbyt wielkie, a ona — zbyt jego niegodna — że uważała karę zabrania dziecka od siebie — złej i występnej matki — za słuszną i sprawiedliwą, a i tak dziękowała Bogu, bo dziecko inaczej zamarłoby u fabrykantki aniołków, dokąd musiałaby je

oddać, ażeby przyjęto ją samą gdzieś w służbę czy do roboty. I znaleźć się wraz z małym gdzieś pod dachem, mając kilka tygodni pobytu zapewnionych dla siebie i dziecka: to był raj... jakże ubogi raj! o którym nawet śnić nie śmiała.

I oto ten prosty fakt otworzył oczy na psychologię wyrodnej matki. Bo nie była sama! Zaliczona narazie do wyjątków, okazała się tylko najtypowszą przedstawicielką swego odłamu. Wszystkie przyjmowały propozycję osobistego chowania niemowlęcia, jako najwyższą łaskę i błogosławieństwo; żadna, po odchowaniu dziecka przez kilka tygodni, za skarby świata jużby się nie zgodziła z niem rozstać i oddać na najlepszą nawet opiekę. Przez ten czas wynajdywało się dla nich pracę, pisało się do rodzin, poszukiwało się ojca, czasem, (nawet dość często) — wydawało się kobietę za ojca dziecka zamąż. A w każdym razie, ratowało się niemowlę od okrucieństwa rozpacz, w jakie popada bezdomna kobieta z niemowlęciem na rękę, a bez grosza, bez przytułku i możności zarobku. I liczby tych uratowanych dzieci i matek są już dziś — nawet przed zalegalizowaniem T-wa, jako osobnej organizacji, co w tym dopiero miesiącu nastąpiło: są aż nazbyt okazałe, by wątpić o jego niezbędności w Polsce.

Teraz — zalegalizowało się i istnieje pod hasłem: „Ratujmy niemowlęta!“ (Krak.-Przedmieście 6, m. II, parter w bramie). Uważam, że zarząd musi poprowadzić akcję tak, aby w pierwszej mierze stała się — wszechpolską. Do takiego zrzeszenia powinna należeć każda czująca i myśląca po ludzku — i po macierzyńsku zwłaszcza — kobieta. Powinno stać się powszechnem, jak Czerwony Krzyż, lub Macierz szkolna: z małych składek, z dwuzłotówek możemy zbudować olbrzymie dzieło pomocy i obrony dla tragicznej Ewy naszego dziś. Bo czyż nie byłoby to zdjęciem z jej bark czerwonego od krwi krzyża męki? Czyż nie byłoby to najwspanialszym triumfem Macierzyństwa?!

ST. PODHORSKA-OKOŁÓW

ŻYWOT ŚWIĘTEGO SPOŁECZNIKA*)

W literaturze naszej dotkliwie daje się odczuć brak rozumowanych studjów z dziedziny hagjografji. „Żywoty Świętych“ ks. Piotra Skargi mogą być zawsze pożądaną lekturą dla smakoszy archaizmu, dla znawców miodnej i chlebnej polszczyzny Złotego Wieku, ale przeciętnego inteligenta odstraszą średnio-wiecznym światopoglądem i prymitywną psychologją. O współczesnych odpustowych wydawnictwach, sięjących spustoszenie w sercach maluczkich, a w ich mózgach chaos legendy z zabobonem — lepiej nie wspo-

minąć. Dzięki temu karygodnemu zaniedbaniu i spaceniu pojęć, wytworzyła się u nas opinja, że poza świętym Franciszkiem z Assyżu niema wogóle świętych, godnych literackiego opracowania. Kamienny mur ogólnej obojętności przebiła jeszcze w ostatnich czasach liryczna postać świętej Tereski, i na tem ko-

*) „Święty Wincenty à Paulo“.—napisała Eleonora Reicher, przedmową opatrzył ks. prof. Wilhelm Michalski. Koło studjów katolickich.

niec. A tymczasem niemal o miedzę od nas, we Francji np., mnożą się co roku pierwszorządne dzieła hagiograficzne, studia badawcze i w ponętą, beletrystyczną niemal formę ujęte żywoty świętych dla inteligencji, dla ludu, dla dzieci.

U nas w tym kierunku nieocenioną wprost stała się inicjatywa Koła studjów katolickich, które powzięło myśl wydawania dziełek i broszur, zaznajamiających ogół inteligencji z zagadnieniami religijnymi. Na pierwszy ogień poszła sylwetka świętego Wincentego à Paulo, pióra p. Eleonory Reicherówny. Wybór tematu i sposób podejścia do niego okazał się nad wyraz szczęśliwym. Postać tego „wielkiego działacza i reformatora społecznego, który cztery wieki temu nie tylko umiał ocenić groźbę pauperyzacji tłumów, ale i przeciwdziałał jej, tworząc swe domy dla pozbawionych pracy“, który „odkrył rolę inicjatywy prywatnej w życiu społecznym“, — postać ta, dzięki wysokiej kulturze autorki i całkowitemu opanowaniu materiału, uwypukliła się, stała się nam bliską, zrozumiałą i drogą, nie zatracając nic z tego dystansu podziwu i aureoli czci, jaka jest przywilejem świętych.

Autorka, daleka od intencji schlebiana demagogicznym upodobaniem szerokich warstw, uprzedza wszelkie, mogące na tem tle powstać nieporozumienia.

„Przyzwyczajony jest świat do tego, aby na Wincentego à Paulo spoglądać, jako na humanitarnego dobroczyńcę ludzkości, człowieka, którego wartość polegała na tem, że opiekował się biednymi skazańcami i chorymi, że tworzył przytulki dla dzieci opuszczonych, że każdy dzień życia, każde drgnienie myśli oddawał ubogim. Jest on tym humanitarnym świętym, uznanym dlatego, że praca jego dała praktyczne wyniki“... „Ale pobudką jego pracy było poczucie moralnej odpowiedzialności kapłańskiej, troska o los duchowy tych ludzi, dla których pracował“. — „Któż nas wytłumaczy przed Bogiem z powodu zguby tak wielkiej ilości ludzi?“ — pisze on w jednym ze swoich listów. Pracował on dla ludzi, ale pracował dlatego, że chciał ich doprowadzić do normalnego zakończenia każdego życia ludzkiego, do zjednoczenia się z Bogiem, a w swej mądrej znajomości życia wiedział, że męka i rozpacz zamykają duszę ludzką. Dlatego, zwalczając nędzę, pracował ks. Wincenty dla Boga“.

To sięgnięcie do mistycznych źródeł ma wysoki walor, jeśli chodzi o odmalowanie duchowego oblicza Świętego. Autorka nie pomija żadnego z tych rysów, które wizerunek jego mogą wzbogacić w zakresie życia i ekspresji. Kojący wpływ pełnego słodczy św. Franciszka Salezego na ponure i suche zrazu usposobienie św. Wincentego, który sam siebie nazywa „pękiem kolców“, jakże trafnie uwydatnił się w tym krótkim cytacie:

— Błogosławiony biskup z Genewy mówił, że jeśli sprawa jakaś posiada sto oblicz, to trzeba ją sądzić z jej strony najlepszej.

Wiekopomne dzieła świętego: Zgromadzenie Misjonarzy, Pań i Sióstr Miłosierdzia oświetlono właśnie z tej strony najlepszej i zarazem, niestety, u nas najmniej znanej.

Pod tym względem wzruszający w swej wymownej prostocie jest ustęp z regulaminu Pań Miłosierdzia:

„Pani Miłosierdzia odwiedziny chorych powinna rozpocząć zawsze od tych, którzy nie są samotni, a skończyć u samotnych, aby móc z nimi dłużej pozostać“.

Albo ten lapidarny drogowskaz dla Sióstr Miłosierdzia:

„Klasztorem ich będzie dom chorych, celą — pokój wynajęty, kaplicą — kościół parafjalny, kruzgankiem klasztornym — ulice miasta, lub sale szpitalne, klauzurą — posłuszeństwo, kratą — strach Boga, a skromność — zasłoną“.

Święty Wincenty à Paulo stał się twórcą usamodzielnienia kobiety na polu miłosierdzia i pracy społecznej. „On pierwszy stworzył rzecz, w owe czasy niesłychaną: zorganizował stowarzyszenia kobiece, których zadaniem była nie tylko pomoc dla ubogich i chorych, ale wychowywanie opuszczonych dzieci, stwarzanie warsztatów dla pozbawionych pracy, wyżywianie głodnych w zniszczonych przez wojnę prowincjach. On pierwszy otworzył kobiecie szeroko, dotychczas zamknięte drzwi jej domu, on dał jej swobodę czynu, on pierwszy śmiałym gestem wysłał ją w świat, nieskrępowaną woalem i ślubem zakonnym, posiadającą, jako jedyne więzy, własną wolę i własne sumienie, dążące do czynu dobrego dla chwały Wiekuistej Rzeczywistości“.

Drogą celowego ugrupowania faktów, umiejętnego rozłożenia światła i cieni, autorka zamierzony cel osiągnęła w zupełności. Jej św. Wincenty promieniuje na czytelnika. Zatracił sztywność świątka, zagubionego między tysiącem obojętnych hieratycznych figurek: zapłonął żywą fosforescencją ducha.

I w pełnym już zrozumieniu faktu, w całkowitej solidarności z postawą autorki wobec tematu, czytamy ostateczne, sumujące ten życiorys słowa:

„Całe życie tego człowieka, tak ostrożnego i chłodnego w działaniu, wstrzemięzliwego w uczuciach, skąpego w ich wyrazie — stało się wyzwaniem, rzuconem wszystkiemu, co jest w człowieku samoubóstwieniem, lenistwem, lub wygodną obojętnością“.

Życzyłoby należało, aby następne książeczki Koła studjów katolickich zdołały utrzymać tę równowagę pomiędzy pionem religijnego autorytetu, a poziomem współczesnego intelektualizmu, jaką wyjątkowo szczęśliwie udało się osiągnąć p. Eleonorze Reicherównie.



FELICJA KRUSZEWSKA

WIERSZ O ZMARTWYCHWSTANIU

*Dzielnie walczyło słońce, krwią opłynięte wieczorem,
mgły przesywając strzałami, śniegu tratując mogiły.
Co doby kawałek nocy odprysnął pod jego toporem,
aż w lody, na dół zstąpiwszy, jęło uderzać co siły,
ciężkie stopy wsparłszy o ziemię, kark zanurzywszy w błękiecie.
Nie mogły ostać się lody, rażone parzącem złotem,
pękły z jękiem trzaskliwym, trysnęło spienione życie,
rzeki, radosne niemowy, ruszyły z głośnym bełkotem.*

*Wiatr nisko wiejący i ciężki porzucił deszczu brzemię.
Zatoczył się z radości, krzyknął, że nigdy nie ginął
i skrzydła czarne odciawszy, wdeptał je w mokrą ziemię,
a potem na całe niebo skrzydło błękitne rozwinął.
Wiał niem, poruszał, wirował, głosy w nie wbijał jak dzwonki.
wplatał zapachów tysiące, wszystko w szal wprawiał rozmachem,
porwał, wyrzucał w górę i rozsypywał skowronki,
aż stał się jednym dźwiękiem i jednym tęgim zapachem.*

*Ptaki jak strzały śmiertelne miotają okrzyk miłosny,
trawy — mokre od potu, splatają się żdźbłami długimi,
zboża — igły zielone sprężają w męce radosnej
i przesywają łono gorącej, rodzącej ziemi.
Pąki w pośpiesznej gorączce lepką tłustością się kleją,
minuta daje hasło nieprzeliczonym poczęciom.
Gałęzie wrastają w niebo, pędy sokami pęcznieją,
bazie serca puszyste podają wiatru dotknięciom.*

*Ziemia dymi ze szczęścia — chleb na błękitnej tacy.
Spełnił się cud doroczny, Noc Wielka się dokonała.
Dzień jasny wypełnił wszechświat, na wszechświat krzyczy: „Do pracy!”
Będąca odbiciem Boga natura zmartwychwstała!*

*Panie, są jeszcze serca, dotknięte śmiercią, jak zimą
i słońcu Twemu podobne są życie dające strzały —
Weź do rąk łuk Twój okrutny, napnij cięciwę olbrzymią,
przeszyj je ogniem nawyłot, by wreszcie z martwych powstały.*



Z. REUTT-WITKOWSKA

2

CHRYZANTES I DARJA

Z CYKLU „HESTJA”

Kapłani zaczem... kapłani, patrz! cudną słońce lampę, łodzi kształtem rzeźbioną, w gwiazdę zamienia jarząca; gwiazdy za nią ołtarzyków pozłocistych—Opieki, Opatrzności Bogini... Gałąź zwycięstwa, kaduceusz złoty, ramię, w złocie odlane—lewe—z dłonią otwartą Sprawiedliwości; waza, piersi kształtem hojnej, złotej; przetak złoty—gałęzi złotych las; mości drogę zieleń, odpocząć oku nie da; wciąż idzie ktoś... Amfor cennych ordynek...

.. Merkury z głową psią. Anubis to, po łbach kapłańskich, pleszą spoconą szklących w blasku—pyskiem tłucze... Ów krowę z porożem złocistym na grzbiecie dźwiga płodną; laski złote, kaduce...

Ów kosz tajemnic, zakryty worem. A wokół kosza dzieci, kapłaństwu przeznaczone, cyklameny, oliwne gałązki kwitnące niosą, werweny. Słońce nad niemi. Słońce nad tą oto, patrz, smukłą dziewczynką... Patrz! co za liczko pod włosów płowych falą—pianą welonów: żalą się oczy-fiołki, drobne się krwawią usta...

Wiew, nad błądy żar nieba gorętszy, poczuje wtem na karku Chryzant; oddechy zasłysz groźne, tłoczne, śpieszne...—Zdrożonyś, Marciporze?—obróci się; oczy Arabczyka długie i żółte napotka—znieruchomiało, jako są oczy węża, w twarzy lśnią szarobladej.

Koniec idącym. Urna maleńka z dziobkiem smukłym, hieroglify po Niej: pełna?—pusta?—Nie myśl o Niej.

Fiołki ócz; usta się drobne krwawią... Nie myśl o niej!

...Niesie cię tłum rzeką do przystani. A tam już oto na przystani szumnej sudno święte, sośniną masytu lśniaco-wonne; gęś złota dziobu fale pruje—bieli się żagiel wzdęty, mleczna po nim ofiar struga.

A potem cię rzeka druga do świątyni odnosi z powrotem. Dzwonią sennie, jako much rój napastliwy, modły kapłańskie—za imperatora, za senat, za lud i marynarke.

— Laojs afezis!—padają słowa pożegnania ludów: idźcież, ludy odpuszczone, doma!—Całują ludy stopy zimne bogini; piętzą się białe prętki oliwne i werwen rubiny woń swa krzyczą ostro.

— Idźcie, ludy.

Co w oczach? Procesji szkląca biel, zarem paląca? czy Ów, cudny Bóg, o którym wieść się unosi dobra między zagaje Onezyforowego domostwa? Czy owa, dziewczynka?

* * *

Rad był senator Polemjusz. Małże tarentyńskie, dobre, zacnym okraślił był piętnastoletnim falernem. Syn wyrósł, wypięknił.

Cóż? pokazało się niezabawnem, że postaremu biesiad się lęka, cyrk mu obmierzył, a nawet i pod sieniami bazylik jawi się rzadko; z młodzieżą, równą sobie rodem, przyjaźni się strzeże, uprzejmy z każdym, od każdego jakowys daleki. Łażni domowej zażywa. Na godziny długie z domu ginie, a na mieście go nie spotkać.

Wszystko to panu swemu donosi pilno Marcipor; jeno nie zbadać, kędy Chryzant obraca kroki?

— Oto wpływ niby stoika tego, Namphama!.. Wždy widzi mi się, panie, iż syn twój dziewczyny niejakiej zapomnieć nie może, która w świątyni Izdy w Koryncie hodowała się, Darja z imienia.

— Ród jej?

— Szlachetny. Z Medontydów idzie...

Poruszy się niespokojnie senator; ambre, jako zwyczajnie, w dłoni obraca.

— U Onezyforowej niewiastki widzieliśmy ją raz potem w przelocie i...—zatnie się Marcipor, jakoby mu tchu wtem zabrakło.

— Coś rzekł?

— W świątyni Izdy już tu ją w Rzymie trzymają, Onezyforowi z przed ócz uprzątąwszy.

— Hm... Piękna?

Nierównym głosem jakowymś i nieswoim wdzięki jej Marcipor opisze wiernie.

— Hm... Odejdź.—Znak da, by mu grali.

Do snu harfiarka mu gra zwyczajna, Ewodja.

Poczem i ona z cubiculum wycofa się perłami sadzonego w rzędy po ścianach bogate, kobiercem zaś aleksandryjskim usłanego w ciszę głęboką.

Dobry szmat drogi zatoczył ciężki, bladozłoty glob księżycy, nim do izdebki swej wrócił Chryzant. Zbytku nie lubił, posług nie znosił. Z obyczajów ojcowych grę harfy jeno, tę przyjął do snu.

Biegają po strunach palce zwiędłe Ewodji, widmo piękne niegdyś, smukłe i polotne.

— ...Wywiodło serce moje dobre słowo, oddawam ja sprawy moje Królowi...—przelewają się szmerem lekkim słowa pieśni.

Zasłona odchyli się nieznacznie brzegiem—przeypie się popielisko, żywe jeszcze, starego człowieka u proga.

Przysiadł cicho na ziemi Namphamo—zawtórał słowu modlitwy.

„Umiłowałaś sprawiedliwość, a nienawidziłeś nieprawości: przeto pomazał cię Bóg, Bóg twój olejem wesela“...

„Stała Królowa na twej prawicy w szacie złotogłowej“...

Krażą myśli utrudzone, tłokiem dnia przeżytego pełne—aż tu rozkwitną obrazem Onej—w szacie złotogłowej... Fiołkami ócz się żali...

Otrząśnie się Chryzant, myślą tyle ziemską ustraszon, gdy, jako rzecz apostoła, sam szatan przemienia się w anioła światłości.

„...Przetoż ludzie będą ciebie chwalić na wieki i na wiek wieków“.

Zasłona drgnęła nieznacznie...

— Bóg z wami obojgiem.

— I z duchem twoim. Spoczywać będziesz, synku?

— Juści, czas mu!—zabierze się ku wyjściu harfiarka.

— Jeno mi list ów apostołski podaj raz jeszcze na dobrą noc, Namphamo; boć przystoi tak w dniu zwłaszcza dzisiejszym—Dawaj!

Skąpy zwój saityckiego papyrusu do piersi garnie, mówiąc sobie w głos:

— Toć jest skarb, którego pożałowało serce moje...

— Abyś go trzymać umiał, a nie utracił, synu. Pan z tobą.

Szeleści coś nieuchwytnie między fałdami zasłony.

— Ktoś tu był.—Słuchał—zafrasuje się harfiarka; zadrzy wtem.

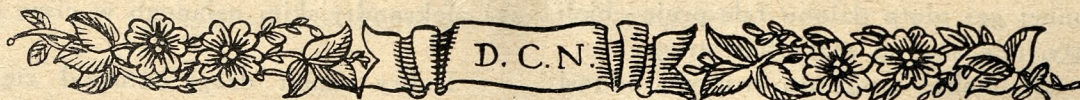
— Któżby, Ewodjo?

— Nie wiedzieć—Bóg z tobą! — Śpiewaniem go wiernem ócz swych ogarnie.

Odeszli.

Zasypia Chryzant, wodą żywota orzeźwion.—Śni mu się biała z palmami procesja. Pośród zaś dziewic ta—w złotogłowie, z fiołkami ócz. Koronę ma, z ciernia.

* * *



NASZ DODATEK POWIEŚCIOWY

„NIEWOLNICZY“ — MONTEIRO LOBATO

Monteiro Lobato jest najbardziej charakterystycznym z pisarzy brazylijskich. Czerpie on tematy tylko z otaczającego go środowiska i z prawdziwym artystem maluje warunki życia w swym wielkim i bogatym, lecz źle zorganizowanym kraju. Jest on uważany za J. Londona południa. Wrażliwy na wszelką niedolę ludzką, bez względu na kolor skóry upośledzonego, widzi szeroko, czuje mocno i potrafi z subtelnością prawdziwego artysty przedstawić czytelnikowi życie swej ojczyzny, nie szczędząc niekiedy i barw jaskrawych. Dla Europejczyka twórczość jego ma niezwykle urok egzotyczności.

HERMINJA NAGLEROWA

3

ZA RAMĄ LUSTRA

(nowela)

Zasłoniła uszy.

— Nie chcę, nie chcę! Już umiem napamięć historję o pierwszej miłości!

— I pewnie myślisz, że to moja jedna jedyna przygoda!

Głos Kazia stoczył się płaskimi krążkami śmiechu: Cha — cha — cha!

I odtąd, gdy wieczór ułożył się złotym kręgiem pod abazurem lampy, Kazio opowiadał. Było to właśnie jakieś spotkanie, które potem ułożyło się w trójkąt małżeński. Nie brakło tam tajnych sztafet miłości i podstępnych zabiegów. Poprostu — romans wedle recepty. I dlatego trwał sceptyczny uśmiech na wargach Heleny.

Gdy kotlety skwierczały na patelni, albo gamy ziewały nudą, przyplątywały się strzępki opowiadania, niby fabuła powieści, którą można każdej chwili zapomnieć.

— Dziś opowiem ci, jak było dalej — oświadczał Kazio, wracając z kina, czy z jakiegoś posiedzenia.

Helena przyszywała guziki do koszul i dowiadywała się, jak to właśnie było, gdy mąż kochanki wyjeżdżał, i mogli się spotykać w jej mieszkaniu. Byli wtedy sami, bo nawet służącą wysłano na spacer. Głos Kazia wirował, jak powietrze nad rozpaloną blachą. Świeżo ogolone policzki były lekko zaróżowione, gładkie i syte. Oczy mgławily się chyba ku tym przypadłym chwilom.

Helena stropiła się. Czyżby to była prawda? Nie wierzyła dotychczas Kaziowi, bo ten cały romans był zawieszony w powietrzu. Garść rozdmuchanego puchu — nic więcej. Osoby bez nazwisk i imion, nieokreślony czas i miejsce. Żadnej ścisłości.

Zapytała: — Kiedy to było? — Ale Kazio tym razem nie przywiązywał do dat wielkiego znaczenia. — Mniejsza o to! dzień, godzina... przecież to nie jest tak ważne, i któżby zresztą spamiętał! — A potem dodał: — Jeśli cię to gniewa, nie będę więcej opowiadał.

Doprawdy, nie miała powodu gniewać się, ale musiała o tem myśleć. Niby małe, szare chmurki, burzyły się niepokoje.

— Ależ to długa historja! Kiedyż się wreszcie skończy?

— Musisz mieć cierpliwość, do końca jeszcze daleko — ho, ho, jak daleko!

Były to oczywiste przechwałki. Helena myślała z pogardą: — Pieje, jak kogut na płocie!

Któregoś wieczoru zaczęły się w opowiadaniu komplikacje. Były nieuchwytnie i drażniące. Kazio sam zamyslał się nad niemi. Nie mógł sobie z niemi

dać rady, Jakieś trwogi szarpały wątek, a strapienie oddychało ciężko w długich pauzach.

Helena triumfowała: — Nie wybrnie z tego! — I nawet gotowa była pomóc mu własną fantazją, aby wiedział, że od początku do końca nie wierzyła tej zmyślonej historii.

Tydzień prania był zawsze niemal katastrofą. W kuchni bezustanku skrzeczał głos praczki, a Różia wobec tego na nic nie miała czasu. W całym mieszkaniu panowała mgła, jak wiosną nad mokradłami. Nerwy trzepotały się, niczem dzikie ptactwo, i miało się ochotę krzyżeć o byle co. Kazio rozumnie uciekał z domu, choć po mrozach przyszły nagle deszcze, i ulice były czarne od wody. Na lekcje trzeba było jeździć tramwajem i, czując czyjeś twarde łokcie na klatce piersiowej, myśleć o tem, czy praczka trzy razy wypierze do gotowania. W gospodarskich frasunkach grzęzło się, jak w błocie. Zagubiony klucz od strychu otwierał właśnie najciemniejsze nory zgryzot. Szło się wreszcie spać z istic robociarskiem zmęczeniem. Nogi — ciężkie kłody, ramiona — skrócone powrozy. A głowa — nie, głowy już nie było wcale — tylko gruby, rozmiękły kulfon.

W tym czasie Kazio ułożył sobie rozwiązanie niepojętych konfliktów i natychmiast, gdy się już niepokoje domowe jako tako ułożyły, wystąpił z sensacyjnym wprost ciągiem dalszym.

— Co? Chciała popełnić samobójstwo?

— Tak, truła się.

— Słuchaj, Kaziu! mam już dość tych głupstw. Przestały mnie bawić.

— Dla ciebie to głupstwa? — oburzył się tak szczerze, że musiała się śmiać. Naprawdę, sam już chyba uwierzył w to wszystko! I dalej opowiadał, jak samobójczynię musieli odwieźć na klinikę, bo sprawa przedstawiała się groźnie. Jej mąż, oczywiście, nie miał pojęcia, o co poszło. Rozpaczał. I dla niego, dla Kazia, były to sprawy tak subtelne, jak niteczki pajęczyny. Bał się ich dotknąć, by nie porwały się i nie odbiegły w błękitne powietrze. Rozrzewniał się zachwytem i wielbił słowami, wydobytemi z tajemnych schowków własnego serca.

Wtedy najpierw jakieś rozchybotanie pod sklepieniem czoła, linje brwi uskokowały wgórze; potem w sercu nieprawdopodobny łomot i nagłe zastygnięcie. Niby lód, twarde lód, który mroźnym chwytem odrazu ścina drobną falę sadzawki. Oczy Heleny stały się baczne. Patrzyły twardą, okrągłą źrenicą, jak oczy susła na straży. Domysł zjawił się, niby nikły zarys na odległym horyzoncie. Należało więc w płaskich

podchodach dojść do poznania tych zawiłości i sekretnych niedomówień, które pływały we wzruszeniu, jak cień ryb w srebrzystej wodzie.

I stąd to, mimo zajęć pracowitego dnia, Helena zdołała się z wolna przedzierzgnąć w detektywa. Pobierała więc skrętnie te wyblakłe i — zdawałoby się, nieprawdziwe szczegóły, aby ocenić ich żywy ciężar. Potem układała w myśli podchwytliwe pytania, które będą umiały wywlec prawdę na wierzch. Wtedy okaże się, że: albo wszystko było fantazją biednego samochwały, albo — kto, gdzie i kiedy?

Rozpamiętywała: — mówił o sukni. Jakież był jej krój? Koszulka z błękitnego krepdeszynu i srebrny pasek na biodrach — to znaczy — moda dzisiejsza. Może więc wczoraj, może dziś?

Pamiętała — mówił o dużym oknie od podwórza i o tem, że trzeba je było zasłonić przed ciekawością sąsiadów. Więc działo się to tu, w Warszawie, gdzie podwórza tworzą zamknięte czworoboki, a okna patrzą do wnętrza obcych mieszkań.

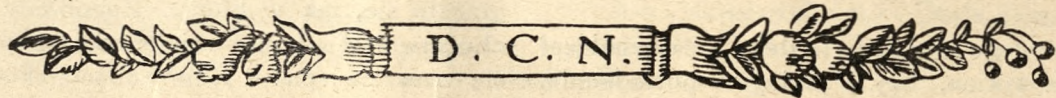
Szło się już pewnym śladem, deptało się niemal po piętach.

Lecz jednocześnie można było aż nazbyt łatwo obalać te niby nieomyłne dowody. Kazio mógł przecież ułożyć urojoną opowieść z fragmentów prawdziwych. Coś, co nigdy nie było, mogło mieć prawdopodobne cechy dnia dzisiejszego i rzeczy gdziekolwiek widzianych. Ach, pewnie tak było i niema już o czem myśleć!

Po gładziutkich chwilach zapomnienia, wracało się jednak znowu do budowania prawdy ze strzępków i pyłków, niczem zaciekle mrówka.

Huczał przy uchu wzburzony głos Kazia i widziało się niespokojny trzepot jego rąk, niby wiosel, zabłąkanych w wirze. I wtedy można było porzucić każdą najkonieczniejszą pracę, by skrzepnąć w długich, ciężkich rozmyślaniach.

Czasem jednak cały, w stos pobierany materiał obciążający — spalał się wesołym płomieniem. Bo jakże można być tak naiwną i posądzać Kazia, dzisiejszego Kazia, o romantyczne przygody? Z humorem kreśliło się karykaturę męża, zanosząc się od śmiechu na wspomnienie jego nawyczek. Po szesnastu latach zadomowionego wygodnictwa nie idzie się już pod sztywną prasę galanckich form!



ANNA LUDWIKA CZERNY

ZWYCZAJE WIELKANOCNE LUDU FRANCUSKIEGO

Wielki tydzień.

II

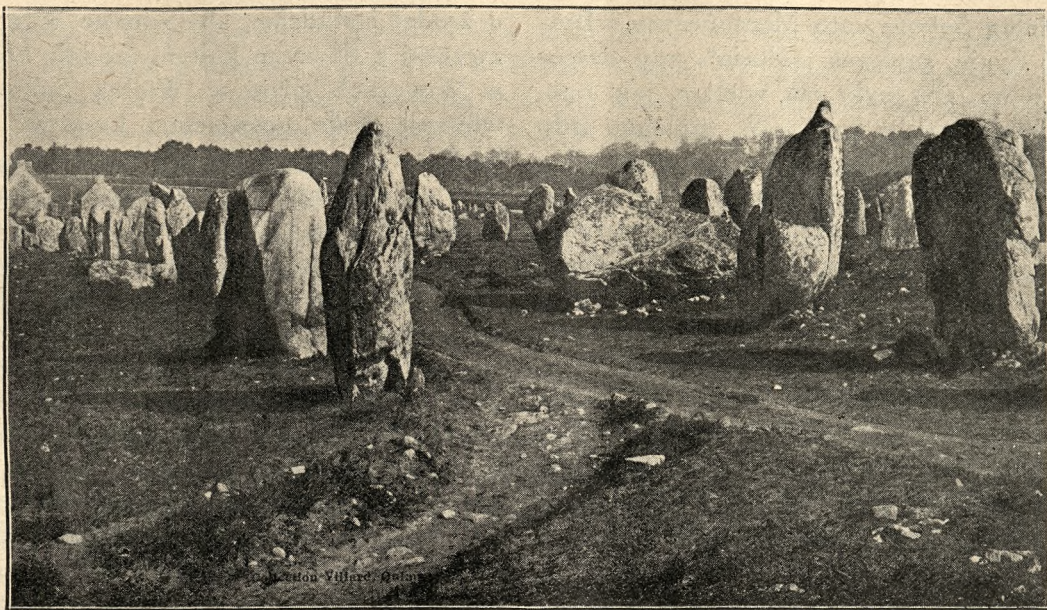
Jajka wielkanocne. Przez cały tydzień, niegdyś w całej Francji, dziś tylko w odległych miejscowościach, chodzi młodzież po kweście od domu do domu, zbierając jaja i śpiewając przy tem pieśni, z małemi warjantami jednakże na całym terytorjum francuskim. Jajo, bowiem, jest zarazem symbolem słońca i symbolem odrodzenia, nowego życia i na zawsze się zespoliło ze świętem Zmartwychwstania, dziedzicem święta słońca i wiosny. Wielki Tydzień aż do Niedzieli jest tygodniem ich panowania; wówczas zyskują one tajemne właściwości, moc nadprzyrodzoną, czasem wróżebną. Ich własności terapeutyczne, znane po wszystkie czasy i we wszystkich krajach przez znachorów, wzmagają się w tym okresie.

Kto wówczas śni o jajach, sny ma wieszczce: jaja świeże pomysłność zwiastują, zepsute — niepowodze-

nie, zbite — śmierć. W Wielki Czwartek w Chauny, koło Laon pikardzkiego, kwestę obchodzą nie chłopcy, ale dziewczęta i po niej wróżą z jaj, tulając je po desce pochyłej: której jajko ziemi dobiegnie bez szkody, ta zamaż wyjdzie w tym roku, narazie zaś, obrabna „Królową Wielkiego Czwartku“ („Reine de Jeudi“), zabawom przewodniczy i z berłem w ręku po ulicach pochodem ją wiodą. W Morwanie zwyczaj ten ma miejsce dopiero w Poniedziałek Wielkanocny.

Chłopcy swą zbiórkę trwonią w zawodach, uderzając jajkiem o jajko, przyczem stłuczone jajko przegrzywa, lub zgoła obrzucają się niemi. Na szczęście, są to najczęściej jajka, ugotowane na twardo.

Dzień Wielkiego Piątku jest dniem najważniejszym: jaja, w tym dniu zniesione, mają własności wyjątkowe. Wedle wierzeń prowanskich utrzymają się one świeżo przez dwa lub trzy lata; wykluwające się z nich



Menhiry w Carnac

piskłeta zmieniają upierzenie co roku, lub w niektórych okolicach i siedem razy do roku. W Morwanie z jaj tych rodzą się kury - trójnóżki. Turenja kogutkom, z jaj tych wyklutym, przypisuje cnoty utajone, zgoła czarodziejskie; w Alzacji są to kogutki wyjątkowo wojownicze i głośne.

Wierzenia są czasem sporne: podczas gdy w Prowancji chętnie w dniu tym sadzają kwokę na trzynastu jajach, w Limuzynie czyn ten sprowadza śmierć w dom gosposi.

W każdym razie jaja, zniesione w Wielki Piątek, farbowane na czerwono, ugotowane na twardo, przeznaczone są na spożycie w Wielką Niedzielę. Chronią wówczas od gorączki, czerwonki i innych chorób; pobudzają gorącość uczuć u młodzieży, oddalają śmierć; rzucone w ogień, gaszą pożar, w wodę — uspokajają burze; mają — zwłaszcza na Południu — same własności dobroczynne, w przeciwieństwie do niektórych ziem północnej Francji, gdzie lęgną się z nich żmije, jaszczurki i ropuchy.

Szczególniejszą jednak mocą cieszą się w okolicach góralskich, n. p. w Jura na granicy szwajcarskiej i w Wogezach, gdzie w czasie Rezurekcji, spojrzawszy przez nie na kościół, można w tłumie poznać czarowników i czarownice, bowiem ci zamiast książki w ręce, kawał słoniny trzymają, a głowy ich pokrywa skopiec od podoju. Można też na domu podejrzanego wtenczas rozbić jajko święcone, a wówczas osoba, oddająca się czarom, wybiegnie rychło, zetrzeć ślady jajka nienawistnego, gdyż czarna magia słonecznego symbolu nie znosi.

Dzieci krain, nad Mozą leżących, śledzą pilnie, czy od Rzymu nie przypląną statki małe, z sitowia plecione, jajkami ładowne. Dzieć się to ma wtedy, gdy dzwony, które na pielgrzymkę do Rzymu poszły, na Rezurekcję powracają.

W dzień Wielkiej Soboty obdarowują się ludzie jajkami. Zwłaszcza otrzymują je dzieci, by zdrowe były. Dla starszych w Delfinacie piecze się osobne placki w formie koszyczków, w których spoczywają dwie czerwone pisanki. W dniu tym wioski alpejskie ofiarowują często jaja w darze proboszczowi.

Choć nie spotykamy zwyczaju dzielenia się jajkiem w dniu Wielkiejnocy — wzajemne obdarzanie się jajkami jest inną formą wymiany życzeń i rodzajem ucztv wspólnej. W tej ostatniej lud francuski każe uczestniczyć samemu Bogu, albo Matce Jego, utrzymując, że próżnia, jaka się w jajku tworzy, jest ich kąskiem.

Jajka są barwione przeważnie na czerwono, choć — jak stwierdza Mistral — nie wyłącznie. Barwa ta jest wspólna krajom łatyńskim, a pono i chrześcijanom palestyńskim, na pamiątkę judzenia dzieci jerozolimskich przez żydów na J. Chrystusa: Żydzi wręczyli dzieciom jaja z poleceniem, aby Chrystusa krzyż dźwigającego, niemi obrzucili. W rękach dzieci jednak jaja krwią nabiegły, a te, przerażone, rodzicom je z płaczem odniosły.

* * *

Z Wielkim Tygodniem związane są liczne przesady gospodarskie. Jedne odnoszą się do siejby. Podczas kazania o Męce Pańskiej, w Wielki Czwartek, w Langwedocji Górnej i Gaskonji, gospodarze biegną wrzucić i przewrócić ziarno, aby nazajutrz zasiane, podwójnie rodziło. W tej samej myśli Pikardja i Turenja sieją kwiaty i sadzą jarzyny, Ardeny — ziemniaki i sieją zboże, Flandrja — kwiaty ogrodowe, aby się zrodziły w różnobarwnych odmianach. Przeciwnie, w innych okolicach spotyka się wierzenia, że ziemia krwawi, w Wielki Piątek poruszona; w Lotaryngji i w Mentonie nie wolno siać w tym dniu, bo albo ziarno nie zejdzie, albo się gorycz w niem

wzbierze. W Wielką Sobotę zato Mentończycy i Bretoni śpieszą siać dynie, podczas „Gloria“, gdy dzwony wracają z Rzymu, aby były tak wielkie, jak one.

W sadownictwie także ruch. W godzinę, gdy milkną dzwony, Alzatzycy biegną trząść drzewa w sadach, aby pięknie rodziły. Gdzieindziej dzieje się to, gdy dzwony wracają. W Wielki Piątek Andegawenja mirty sadzi, które tylko w tym dniu się przyjmują; w okolicach sadowniczych szczepią drzewa i przycinają czarne porzeczeki. W Gaskonji, aby sady rodziły, należy u zrostu gałęzi położyć kamyk, zabrany w Wielki Piątek z cmentarza sąsiedniej wioski. W Ile-de-France w tym samym celu podlewa się jabłonie w Niedzielę Wielkanocną, wodą przed wschodem słońca zaczerpniętą, która cudowną moc posiada. W Jura gosposie ocierają o korę drzew ręce z ciasta świętecznego.

W Wogezach pamiętają w Wielki Piątek o ulach, które stroją w krzyżyki ze święconego wosku. Najważniejsze jednak te dni są dla bydła. W raju bydłym, jakim jest słynna Solonja (na południu od Loary), odbywa się w Wielki Piątek chrzest cieląt. Gospodarz uderza trzykroć batem cielę, w tym roku urodzone, nadaje mu imię, wymawiając równocześnie zaklęcie: „a wilkowi zakazuję ciebie zjeść!“ na co obecni odpowiadają chórem: „Nie! wilk ciebie nie zje!“ W pogórzcu Morwanu przycinają końce ogonów krowom i owcom, aby zdrowe były przez cały rok; w tym samym celu w dolnej Bretanji ucinają krowom między rogami nieco sierści. W Alpach znaczą w dniu tym uszy bydła rozpalonem żelazem, aby ich wilki nie tknęły. Znachory zaś wogeskie, aby moc zyskać, wykopują kreta i krwią jego palec wielki i wskazujący pomazują.

W Wielką Sobotę natomiast, kiedy święcą wodę, baby na wyscigi rzucają się z dzbankami, która bowiem pierwsza „śmietankę wody“ zaczerpnie, zapewni krowom swoim mleko, pełne tłuszczu. Na pograniczu Bretanji i Beauce łapią skrętnie krople wosku, które ze świecy wielkanocnej w wodę upadną, są one bowiem niezwykle zbawienne dla wieprzów.

W Prowancji w dzień W. Piątku święcą pastyrze kije, któremi owce pędzą.

Troska o zdrowie także nie ustaje. W Wielki Czwartek spożywają w pewnych okolicach koguta na pamiątkę zaparcia się Piotra Świętego. W W. Piątek nie wolno w Wandei jeść jabłek, gdyż szkoda w tym dniu, gdy Chrystus octem był pojony. Zato w Jura jedzą szpinak, szczaw i inną zieleninę przeciwko parchom.

Najważniejszą jednak jest chwila, gdy zabrzmia dzwony w czasie Rezurekcji. W Prowancji na wyscigi rzucają się kobiety gromadnie z dzbankami i konwiami ku studniom i krynicom zaczerpnąć wody, którą rozdają rodzinie i bydłu, aby swojacinę całą od chorób i uroków zachować. W Alpach sabaudzkich lud w tę chwilę myje sobie oczy

u źródeł i studzien, aby zdrowe były. Łączy się ten zwyczaj z dawnym kultem źródeł, który żyje jeszcze w Wogezach, gdzie w Wielką Sobotę po mszy zawieszają małe poświęcone krzyżyki drewniane nad wodą, w pewności, że między g. 11-tą a północą woda w wino się zamieni. Podobnie Bretanja wierzy, że w Noc Wielką zamienia się woda w źródach w wino, lub jabłecznik. Pogańskich czasów sięga zwyczaj, panujący we wschodnim kącie Riviery, gdzie ludzie tłumnie w dzień Wielkiej Soboty myją nogi w morzu. W Normandji, o świcie, w sam dzień Wielkiejnocy, dziewczęta myją twarz w źródach i rzekach, aby mieć piękną cerę; bohaterskie kokietki wiejskie, nie zważając na mróz, czasem nawet, szatki zrzuciwszy, całe się zanurzają w tej zbawiennej kąpieli. O tej samej porze w Bretanji, kto ma czyste sumienie, biegnie łowić kraby, okryte porostem morskim, który leczy epilepsję. Oprócz własności leczniczych ma woda własności wróżebne. W okolicach Sens, w Szampanji, dziewczęta w Wielką Środę rzucają na wodę szpilki: której szpilka na powierzchni się utrzyma, — wyjdzie zamaż w tym roku. Oczywiście, chytróść dziewczęca często szpilki te pokrywa tłuszczem, aby mieć więcej szans.

Z pogańskiem świętem wiosny łączy się niezawodnie zwyczaj wysp normandzkiego archipelagu, gdzie młodzież puszcza na morze małe okręciki. Przypomina to obrzędy, jakie w dniu 25 maja odbywają się w Saintes Maries en Mer, w Prowancji, przy zanurzeniu łodzi „Trzech Maryj“, która zastąpiła łódź Izdy.

Ptaki w wierzeniach wielkanocnych zajmują znaczne miejsce. Dzień Wielkiego Piątku jest dniem szczęśliwej budowy gniazda dla kruka, który usiłował ongiś wyrwać cierń z czoła Zbawiciela, i dla jaskółki, która ze wszystkimi towarzyszkami Chrystusa na krzyżu cieszyła i w dniu tym zawsze się gromadzi i która z nóg świętych wyjmowała ciernie, wbite przez nielitościwą srokę. Ten ptak bluźnierczy, naśmiewający się z zięby, która dziobkiem chciała ściągnąć i zamknąć ranę w boku Chrystusowym, ukarany został srodze. Musi on gniazdo swe po wieczne czasy budować w dzień Męki Pańskiej na najwyższych drzewach, otwarte na deszcz i wszystkie igraszki wiatrów. Bretoni wierzą, że ptaki obchodzą gromadnie Zmartwychwstanie, śpiewem Alleluja radość objawiając, i dlatego, ktoby je zabił w tym czasie, na zawsze przeklęty będzie, ptak zaś zabity odżyje piękniejszy i szczęśliwości pewien.

Sam dzień Wielkiej Nocy jest w Alpach i w Prowancji dniem procesyj tradycyjnych do miejsc odpułstowych. Największa jest pielgrzymka do Notre-Dame w Beaulieu, koło Nyons, w departamencie Drôme. Dzień ten naogół jest wszędzie święcony sumiennie, i liczne są, zwłaszcza w Bretanji, Owernji i na Południowym Wschodzie, podania o karach, jakie gwałcicieli spotkały. Pewne jezioro owerniackie

do dziś wylania w dniu tym karetę damy, która, nie zważając na dzwonek, głoszący Podniesienie w Wielką Niedzielę, kazała zaciąć konie, i za karę jezioro ją pochłoneło. Częste są podania o myśliwym, który za znieważenie dnia Zmartwychwstania polować będzie do końca świata. Takim jest król Artus w Bretanii i Gaskonji, który nabożeństwa na odgłos psów, szczujących dzika, czy zająca, odbiegł i który za karę, polując bezustannie, co siedem lat muchę zaledwie złowi; takim jest u Basków sam król Salomon.

Podobna znanemu powszechnie chłopowi z wiązką chrustu, jest w podaniach gaskońskich niewiasta, która za pranie w Wielkanoc, ongiś na księżycu osadzona, zmieniła miejsce z owym chłopem, którego dziś na miesięczku oglądamy, a który dawniej słońca był mieszkańcem.

Poniedziałek Wielkanocny był do niedawna w Delfinacie świętem dzielnicowej odrębności: obcho-

dzono w Saint-Donnat pamiątkę koronacji króla Bozona (894): „Król jałmużników“ w wasycie błazna i scwizdrzałów rodzimych, przy odgłosach fanfary, udawał się na most w pochodzie i tam rozdawał jałmużnę ubogim z fundacyj odwiecznych, siedząc na wspinałym tronie. Nie wiem, czy sam zwyczaj dawania jałmużny istnieje, zabawa jednak ludowa, która tę uroczystość kończyła, urządzana jest co roku.

Podobne zwyczaje, choć nie z dniem Wielkiejnocy związane, istniały we wszystkich okolicach delfinackich i nadrodańskich. Zanikły prawie zupełnie, choć w ostatnich czasach usiłują je tu i owdzie wskrzeszać, zarówno władze świeckie, jak kościelne, które z kwestą na cele dobroczynne łączą często publiczne uczty pod gołym niebem i zabawy ludowe.

Lwów, 18 marca 1928.

Z ŻYCIA EKRA NU

(Chaplin — „Cyrk“)

Wśród zmienności losów filmu są jednak pewne wartości stałe, choć naturalnie i tu trzeba pamiętać o teorii względności. Każdy nowy film Chaplina jest jeszcze ciągle dla świata filmowego wydarzeniem. Na niebie filmowym wszystkie gwiazdy — czy to reżyserskie, czy aktorskie — są „niestałe.“ Świecą jakiś czas pełnym blaskiem i nagle zostają przyćmione przez gwiazdy inne, czasem jaśniejsze, czy większe, a czasem — poprostu tylko — nowe. Chaplin trwa. Bo Chaplin, który jest twórcą nowej formy obrazu filmowego, jest jednak ciągle tylko jeden — sam. Różne szkoły komizmu filmowego bezwątpienia czerpały soki ze sztuki Chaplina, ale właściwych epigonów Charlie nie posiada. On jeden w świecie filmu jest scenarzystą, aktorem, reżyserem i „gagmanem“*) w jednej osobie: jest więc jakby jednocześnie kompozytorem i wykonawcą. W filmach Chaplina niema nic z przypadkowości, jest w

nich zawsze ta sama idea — przeprowadzana, powiedzielibym, z pewnym uporem — choć na różnych terenach i z coraz to innej strony.

W „Cyrku“ Charlie jest znów „un pauvre diable“, biedakiem, tchórzliwym, nieśmiałym i pokłóconym z rzeczywistością. Buster Keaton też nie uznaje istniejącego porządku rzeczy i nie liczy się z nim, ale Keaton tworzy sobie swój świat, „urządza się“ tam i postępuje konsekwentnie, nie dbając o rzeczywistość. Tymczasem Charlie — włóczęga, samotnik, zamknięty w sobie, nie mający żadnych wymagań (całe swe gospodarstwo nosi zazwyczaj przy sobie), żyjący od przypadku do przypadku — nie umie jednak odgrodzić się od rzeczywistości, którą raz poraz wyzywa do walki i, oczywiście, zostaje przez nią zwyciężony. Pcha go do tego zwykle jakiś odruch serca. W jego



Scena z filmu „Cyrk“ Chaplina

*) „Gagman“ — twórca wesołych epizodów.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

„Messjasz“ J. F. Haendla. — „Widma“ St. Moniuszki
w Filharmonji.

Nie odrazu Jerzy Fryderyk Haendl twórczość swoją ugruntował na formie oratoryjnej; podstawą w dorobku jego kompozycji były sławne angielskie „Anthems“ i na zawarcie pokoju napisane „Te Deum“, które zjednało mu w Anglii przydomek „niemieckiego Purcella“. Jednakże ambicje Haendla zdążyły w kierunku opery, tembardziej, że sceniczne utwory jego miały w Londynie wielkie powodzenie, i arja „Lascia ch'io pianga“, z opery Rinaldo, stała się jedną z najpopularniejszych w epoce rokoka. Haendlowi chodziło o stworzenie wielkiej akademii operowej w Londynie; w tym celu zapewnił sobie współdziałanie najlepszych włoskich śpiewaków, napisał szereg oper we włoskim stylu, ale pomimo poparcia wpływowych i bogatych sfer, intrygi artystów przeszkodziły otwarciu akademii, i wtedy Haendl poświęcił się zupełnie twórczości oratorjum, dając mu formę decydującą o technice wokalne, jako najwyższej i osiągniętej prymitywem śpiewu w chórach. Właśnie chórom zawdzięczają oratorja Haendla swoją żywotność, która przetrwała prawie dwa wieki; arje i recitativa, utrzymane we włoskim stylu, mają już barwy spłowiałe, ale chór, podobnie, jak w greckich tragedjach, ma znaczenie właściwej idei dzieła, jest religijną podstawą oratorjum. Największem dziełem Haendla jest „Messjasz“, oratorjum, napisane w 24 dniach, obejmujące w trzech częściach żywot Chrystusa, jako całość. Od narodzenia Pana, po Jego męki, od Zmartwychwstania po szerzenie Chrystusowej wiary i jej niewzruszone dogmaty, — Nieliturgiczny, ale organicznie związany z kościołem tekst „Messjasza“ ma muzykę popularną, bo dostosowaną do najszerszego ogółu, a jednak potężną, w miarę dramatyczną i charakterystyczną dla twórczości Haendla, przemawiającą do słuchaczy niezrównaną siłą sławnego „Alleluja!“

Poraz pierwszy interpretowano „Messjasza“ w Warszawie dopiero w tym sezonie koncertowym, w Filharmonji. Po Mszy h-moll Bacha, jest to znów jeden krok naprzód w kultywowaniu muzyki oratoryjnej i postęp ten jest tem więcej chwalebny, że „Messjasza“ wystawiono z miejscowym chórem, zorganizowanym przez prof. Stanisława Kazurę. Wielkie zamierzenia w naszym świecie muzycznym niezawsze dochodzą do skutku z powodu braku sił do zmontowania wielkiego aparatu, dlatego fakt wystawienia „Messjasza“ należy uważać za wysiłek, przyjęty z pełnem uznaniem. Chór był dobrze przygotowany, intonował czysto i śpiewał rytmicznie. Wokalizowane fugi, jako prymityw śpiewu, przedstawiają może największą trudność interpretacji i stylu, ale dla chóru tego są one nowością, i pobłażliwość jest tem więcej wskazana, że z solistów jedynie Dobosz zna najlepiej sztukę

warunkach jest to luksus, za który musi płacić. Gdyby nie zrobiło mu się żal Merny, której ofiarowuje swoje śniadanie — nie zakochałby się nieszczęśliwie i uniknąłby wielu konfliktów z rzeczywistością, do której jest tak nieprzystosowany. Czy człowiek śmieszny może przeżywać dramat, i czy taki dramat może wzruszać? Tragizm i śmieszność — oto żywioł Chaplina, w którym porusza się z niesłychaną swobodą. On jeden może znaleźć równowagę w tej ekwilibrystycznej wędrówce między wzniosłością, a śmiesznością („du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas“) i pokazać „czarno na białem,“ jak wiele smutku jest w rzeczach wesołych i wiele komizmu — w dramatycznych! W „Cyrku“ jednakże jest jedno miejsce, gdzie Chaplin sam się zachwiał i nie znalazł oparcia w żadnym z dwóch światów: jest to scena z małpami na linie. Absurdalność tej sytuacji nie wywołuje ani śmiechu, ani grozy, ani współczucia. Publiczność jest zdezorientowana, efekt zawisa w próżni.

W „Cyrku“ Chaplin ma okazję do rozwinięcia tysiąca genialnych pomysłów, z których każdy z osobna mógłby być atrakcją całego filmu. Naprz. labirynt luster, walka wśród nich i pogoń; albo Charlie, udający automat, albo „sen o potędze,“ gdy widzimy Chaplina takim, jakim jest i takim, jakim chciałby być w stosunku do rywala. A jednak — mimo to wszystko, wołałam „Gorączkę złota“.

Teren cyrku jest tak zbanalizowany, jako wesoła maska, pod którą kryje się smutne oblicze: („śmieję się, pajacul“ i t. d.) — że sama idea Chaplina nie wypada tu tak wyraziście. A przecież Charlie kupił sobie serca milionów nie tylko śmiechem: kupił je i łzami. Charlie — biedak, przebijający się z takim trudem przez życie, tchórz i niedołęga — nawet u progu „karjery“ umie zdobyć się na bohaterstwo wyrzeczenia się, jeżeli chodzi o szczęście innych. To też prawie ze łzami żegnamy jego mizerną, śmieszna figurkę, udającą się znów gdzieś w świat, na nowe walki i nowe zwycięstwa nad... sobą samym!.

Stef. H.



solfeggia. Śpiew solistek, pp.: Zboińskiej-Ruszkowskiej i Leśkiej był na wyżynie zadania. Naogół całość brzmiała dobrze i pewnie.

Mało znane są „Widma“ Moniuszki—muzyka do, drugiej części „Dziadów“ Mickiewicza, obejmująca sceny w kaplicy cmentarnej i obrządek wywoływania duchów. Romantyczna kantata otrzymała nazwę „Widma“, przez wzgląd na cenzurę rosyjską, która nie byłaby inaczej dała zezwolenia na estradowe wystawienie choćby tylko drugiej części „Dziadów“. Dopiero w 1878 roku dano we Lwowie „Widmom“ Moniuszki sceniczną oprawę: muzyka „Dziadów“, inscenizowana, podniosła znacznie wartość interpretacji, a kantata zyskała właściwy styl dramatyczny, związany z żywiołem poezji Mickiewicza. Muzyka Moniuszki ilustruje programowo trzy widma, wywołane przez guślarza, o tematach bardzo przejrzystych i melodyjnych, opartych o przepiękny chór, stanowiący fundament dzieła. W „Widmach“, podobnie jak w operach Moniuszki, chór ma największą wartość muzyczną, o charakterze rdzennie polskim, nie tylko pod względem melodji i rytmiki, ale także w ujęciu kontrastów dynamicznych poszczególnych motywów.

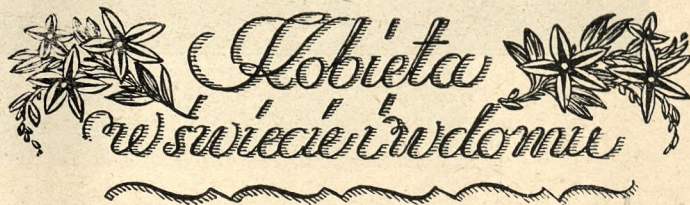


Irena Dubiska, skrzypaczka, która na propagandowych koncertach muzyki polskiej w Rzymie, Genewie i Wiedniu grała z wielkim powodzeniem utwory Szymanowskiego i Karłowicza

Kantaty Moniuszki mają tem większe znaczenie, że dały one podwaliny formie oratoryjnej w muzyce polskiej.

„Widma“ wykonano tym razem na estradzie Filharmonji, pod batutą wielce zasłużonego dyrygenta Maszyńskiego ze współudziałem dobrze przygotowanego chóru „Lutni“. Z solistów śpiewali doskonale: p. Comte-Wilgocka i p. Michałowski. Sceny deklamacyjne były bardzo słabe.

P. L.



JESZCZE JEDNA PLACÓWKA ZDOBYTA PRZEZ KOBIETY

Jest nią.. giełda handlowa.

Dotychczas ustawodawstwo we wszystkich państwach cywilizowanych wykluczało wyraźnie ukazywanie się kobiet na giełdzie

Podwoje gmachu zamknięte były mocno przed wtargnięciem płci pięknej do tego przybytku cyfr i spekulacji.

Dzisiaj zanulowane zostały odnośne paragrafy konstytucji Austriackiej: gmach giełdy wiedeńskiej otworzył się przed kobietami. I tym razem zostały one zrównane w swych prawach z mężczyznami. Dwie dzielne i energiczne wiedenki, panie G. Gentilomo i Fr. Habartha, jako współniczki, a ostatnio prowadzące wszystkie interesy i transakcje starej, poważnej firmy w Wiedniu „Habartha i Gentilomo“ (zajmującej się importem konserw), dopóty nie ustawały w zabiegach, aż przekonawszy kierownictwo giełdy o słuszności swych wymagań — otrzymały wreszcie przepustki do gmachu.

Ukazanie się przedstawicielek płci słabszej w tem królestwie męskich zapasów — wywołało wśród tłumów niemałą sensację.

Odważne panie, mimo nieprzychylnego, wrogiego nawet zachowania się kolegów, nie myślą ustępować z placu.

Za ich przykładem, dostały już dzisiaj karty wstępu na giełdę trzy inne wiedenki, prowadzące na własne ryzyko i nazwisko rozmaite interesy handlowe.

Twierdza została zdobyta..

H. S.

NOWOCZESNE BOHATERSTWO KOBIETY

Młodziutkie milionerki amerykańskie dowiodły nadspodziewanie, że są zdolne do niesłychanych poświęceń!

Oto na wezwanie instytutu bakteriologicznego w Chicago, poszukującego za pewnem wynagrodzeniem młodych osób, które dałyby zaszcześcić sobie bakterje tyfusu i szkarlatyny, by wypróbować najnowsze metody leczenia — zgłosiło się przeszło 300 kandydatek ze sfer bardzo zamożnych.

Dyrekcja instytutu wybrała z pośród nich 12 młodziutkich milionerek. Jedną z pośród tych odważnych dziewcząt zmarła w okropnych męczarniach, 3 walczą ze śmiercią — reszta przebyła chorobę szczęśliwie, lecz skutki szczepionki przeciw szkarlatynie pozostawiły w ich organizmie niezatarte ślady.



Zarząd i Prezydjum Zjazdu—pp. Opielińska, Bratkowska, Błęzyńska, Grzebińska, Ordzina, Szukiewiczowa, Szymkowiakówna, Łokuciewska, Arctowa, Lubińska, Dzięwońska, Zwolińska i Kołodzka.

DZIESIĘCIOLECIE KOŁA POLEK

Dn. 25 i 26 marca odbył się Zjazd X-ej Rady Naczelnej Koła Polek, który był zarazem obchodem dziesięciolecia pracy tej zasłużonej instytucji.

Koło Polek, zapoczątkowane jeszcze na ziemiach Mińskich w czasie tworzenia wojska polskiego, a zorganizowane ostatecznie w chwili wyjścia z Polski Niemców — przez lata cichej i owocnej pracy służyło wszystkim aktualnym potrzebom narodowym, wysuwając zawsze na czoło swych zamierzeń pracę nad wydoskonaleniem kobiety-polki, nad stworzeniem z niej mądrej i dzielnej obywatelki, świadomej swych zadań i obowiązków.

To też, służąc w pierwszych latach swego istnienia potrzebom młodej wówczas polskiej armii — Koło Polek, z chwilą ukończenia wojny, weszło na tory pracy pokojowej, organizując Świetlice dla pracujących dziewcząt, czytelnice, opiekę nad dziećmi i inwalidami, placówki przemysłu domowego i biorąc udział w pracach przysposobienia kobiet do obrony kraju.

Zjazd rozpoczął się nabożeństwem w kościele Pijarów i pięknym przemówieniem ks. prałata Jachimowicza i odbył się przy współudziale wielu przedstawicielek Kół prowincjonalnych, których Koło Polek posiada kilkadziesiąt na wszystkich krańcach Rzeczypospolitej, od Wilna aż do Śląska, a liczny udział gości i delegatów innych stowarzyszeń był wyrazem sympatii i uznania, jakimi cieszy się ta zasłużona instytucja.

Zjazd tegoroczny odbył się pod hasłem przekonania ogółu kobiet, iż żadnej z nich nie wolno odsuwać się od pracy społecznej i nie brać udziału w tworzeniu wielkiej i silnej Polski, że każda musi przyłożyć cegiełkę do budowy gmachu Ojczyzny, i że w wyścigu pracy, jakim jest powojenne życie silnych i żywotnych narodów — kobiecie polskiej nie wolno pozostać w tyle!

Myśl przewodnia Zjazdu została umiejętnie rozwinięta w referatach: prof. L. Skoczylasa, p. t. „Udział Kobiet w Pracy Społecznej”, p. Zaborowskiej — „O zawodowym kształceniu kobiet”, p. Irény Szumlakowskiej i M. Romanowej — „O naukowej organizacji pracy i zastosowaniu jej w gospodarstwie domowym” — wygłoszonych w pierwszym dniu Zjazdu.

Słowa gorącej zachęty do pracy i uznania dla wrodzonych talentów kobiecych, wygłoszone przez prof. Skoczylasa, nawoływanie do fachowego kształcenia się kobiet, rozumnie motywowane przez p. Zaborowską twierdzeniem, że kobieta bez fachowego wykształcenia jest w pracy szkodniczką, wytwarzającą niezdrową konkurencję i obniżającą jej poziom; wyjaśnienia p. Szumlakowskiej: czym jest właściwie naukowa organizacja pracy, i wskazane przez p. Romanową sposoby zastosowania jej w życiu domowym, tym naturalnym terenie pracy każdej kobiety, — dążyły do obudzenia u ogółu kobiet poczucia swej siły i świadomości: jak wiele mogą i powinny zdziałać dla dobra społeczeństwa i jak wielkie są ich obowiązki!

Dalsze obrady Zjazdu poświęcone były sprawozdaniu Zarządu Głównego i Kół Prowincjonalnych, sprawom organizowania Świetlic na prowincji (referat p. Rączaszkowej) i sprawie wychowania fizycznego kobiet, o którym w mądrym i rzeczowym referacie mówił p. pułk. Ulrych, zachęcając do pracy na tem polu, a przede wszystkim — do organizowania ogródków Jordana.

Zjazd złożył hołd i słowa gorącego uznania długoletniej przewodniczącej Koła Polek p. Konstancji Lubińskiej, pod której światłem kierownictwem Koło Polek użytecznie pracowało w ciągu dziesięciolecia swego istnienia, i wyraził podziękowanie wiceprzewodniczącej Koła, p. Marji Błęzyńskiej, i sekretarce p. Marji Wołodkowiczównie za ich niestrudzoną i owocną pracę.

Do Zarządu wybrano ponownie p. Konstancję Lubińską i Kamilę Opielińską, oraz p. Marję Wołodkowiczównę na miejsce ustępującej p. Sławy Browińskiej.

Zjazd odbywał się pod przewodnictwem p. Szymkowiakówny z Górnego Śląska, na wice przew. zaproszono p. Chodakowską z Sandomierza, na sekretarkę p. Zwolińską z Warszawy, na assesorki: pp. Łokuciewską z Wilna, Arctową z Cieszyna, Grzebińską z Mławy, Szukiewiczową z Lidy, Czarnecką z Łucka i Ordzinę z Pińska.

Zjazd uchwalił szereg wniosków, wypływających z wyżej wspomnianych obrad i referatów, — wniosków, które dla kół i poszczególnych członkiń będą niewątpliwie wskaźnikiem dalszej użytecznej pracy





Kościół w Gierczycach Opatowskich

O POLSKOŚĆ NASZYCH WNEŹTRZ

‘Polskie budownictwo.

I.

Gdy inteligentny człowiek wraca z dalszej podróży z wyobraźnią nasyconą widzianem społeczeństwem i owocami jego trudów wielowiekowych: architektury, zamkniętych w muzeach skarbów sztuki, urządzeń społecznych, obyczajów—odnosi słuszne wrażenie, że poznał kogoś, może niedokładnie jeszcze i po-bieżnie, wszakże zaznajomił się z postawą i obliczem nieznaną sobie dotąd jednostki.

Obliczem więc Narodu, najdobitniej wykładającym jego ducha, jest przedewszystkiem sztuka, dlatego choćby tylko, że, jak twarz ludzka, odrazu jest widna i zasłonić się nie da, że narzuca się nam wszędzie: w fasadzie domu, w sprzęcie, w tkaninie, w piosence, w ubiorze, w książce.

Chcący poznać bliżej dany naród, obejrawszy miasta, te skamieniałe stronicie jego historii, zwraca się ku miasteczkom, a w szczególności ku wsiom, które, jak ziemia w swych geologicznych pokładach, zachowały świeże jeszcze tworzywo, będące podłożem odrębności narodu — sztukę ludową.

Zachowały ją, jak język, którym się mówi, jak powietrze, którym się oddycha, jak rozciągłość geograficzną, na której się znajdują.

Sztuka danego narodu, jak i język, sięga w ziemię—swą rodzicielkę—z niej czerpiąc soki, i dlatego jest dziecięciem, objawiającem istotę jego ducha

Sztuka ludowa narodów europejskich, przetrwiona już oddawna, jako krew krąży w organizmie swoich narodów. (Grecja, Włochy; Anglja, Francja, Niemcy, z wyjątkiem może jednej Holandji, gdzie występuje swą cudowną odrębnością w każdym sprzęcie pospolitego użytku, w każdym załamaniu dachu,

w każdym drobiazgu). Straciła już swe wielkie znaczenie u tych narodów, które, dzięki swej sędziwości, zespoliły się raczej w wielkiej rodzinie kultury europejskiej, zatracając częściowo etniczną swą odrębność.

Ale tylko częściowo.

Każdy bowiem z tych narodów zdążył w pracy wieków wypowiedzieć swą odrębność, w swoim własnym stylu, czyli w sposobie i sztuce wyrażania się.

Gdy inteligentnym podróżnym, wracającym z dalszej drogi, będzie polak — zacznie rozglądać się i porównywać to, co ma u siebie w kraju i w domu, z tem, co widział na szerokim świecie.

I cóż zobaczy? — Kraków, perłę cudnej piękności, nieustępującą Florencji, Pizie ani Padwie; zobaczy potężną Katedrę w Gnieźnie, Ratusz w Poznaniu, pałac-cacko w Łazienkach; zobaczy w Polsce wspaniałe kościoły, zamki, znaczące przynależność Polski do rodziny narodów zachodnich o starej kulturze, — dowodzące jednak, iż brała z zachodu formy gotowe, niemi się rozbudowywała, przyswajała je sobie, częściowo nawet przetwarzając do własnych potrzeb, jak np. dworek szlachecki, gotyk nadwiślański.

Czuje jednak oko po miasteczkach i wsiach doszuka się zupełnej odrębności w złamaniu dachu, w formie sosrębu, w słupach, w zaciosach belek, w odrzwiach samych. Ta odrębność — to duch ludu, który formę swą własną do potrzeb swoich wciela. Wreszcie wieś polska we wnętrzu chat, w ubiorach, w sprzętach i ozdobach dopełnia właściwości rdzennie etnicznych ludu polskiego,

Ze naród polski, tak potężnie i odrębnie wypowiedzany się w literaturze, muzyce, malarstwie, nie

znalazł dotąd własnej swej formy w architekturze — rzecz to zrozumiała i jasna.

Na trakcie między zachodem i wschodem leżąca, Polska, dzięki swemu położeniu geograficznemu będąc pomostem dla dwu tych odrębnych światów, a i łupem jednocześnie łakomym, napadana, niszczone, dezorganizowana przez obcych, a i swoich także, — gdy wreszcie podnosi się z upadku i przywdziewa murowane szaty, — nie ma własnych majstrów i rękodzielników: sprowadza ich Wielki Kazimierz z zagranicy i cieszy się wielce, gdy mu uczniów zastępy owi mistrzowie urabiają.

W dobie Sasów, czy Stanisława Augusta bierzemy znów formy gotowe, śliczne, używane przez cały świat kulturalny, — a czasu upadku Polski — polskość w jakimkolwiek przejawie, była owym dynamitem, grożącym wiecznie całości państw zaborczych, — nie był to więc czas na jej rozwój.

Polski więc styl w budownictwie odnajdzie się i wypowie dziś, gdy Polska, osiągnąwszy niezależność polityczną, rozpręży ramiona i na wszystkie pola działania wysyła swe olbrzymie, młodzieńcze, krępowane dotąd energie.

Świetnie udaną próbą naszej współczesnej odrębności plastycznej była Wystawa Paryska w 1925 roku, gdzie na wielkim targowisku świata zwrócono uwagę na indywidualne oblicze Polski w architekturze, meblarstwie, zdobnictwie.

Idąc po tej linii, szkoły dzisiejsze pomagają młodzieży i nacisk największy kładą na owo wyodrębnienie form, zamykających treść niekłamana ducha polskiego, którego szukać należy w prymitywach sztuki, w prostocie ludu, „myślącego postaciami“, jak mówi Norwid.



Kościół w Latowiczu

Biorąc w testamencie wskazania wielkiego Poety, nie poblądźmy, jak nie błądzi ziemia, taki a nie inny wydająca kwiat i owoc.

Nie znaczy to przecie, aby artyści kopjować mieli wystrzygane koguciki, chałupy i chłopów, jak chcą złośliwi i krótkowidzący — zostawmy artystom ich nieomylny instynkt: nie zawiedzie on ich, jak nie zawiódł wielkie przekwitłe kultury ludzkie, z których każda nie była w zarodku swem niczem innym, jeno naiwnym wypowiedzeniem się dzikiego jeszcze wówczas plemienia.

Nie bójmy się w rodzącej się Sztuce Polskiej iść w głąb — w zaródz jej — sztukę ludową. Z niej soki czerpiąc, narodzi się Polska Architektura.

Marja Morozowicz-Szczepkowska.

WIELKANOC

Przyglądając się zbliżającym zwyczajom wielkanocnym, przestrzegającym do tej pory na wsi, zauważymy, że w naszych uroczystościach zachowało się wiele cech wspólnych ze świętem Wiosny. Zmartwychwstanie Chrystusa, — to zwycięstwo życia nad śmiercią — powrót wiosny — to powrót twórczych sił w naturze.

Z okresem nadejścia wiosny wiąże się wiele ludowych zwyczajów. Jednym z pierwszych, zanim jeszcze wiosna się zbliży, jest wypędzanie Zimy. Większa młodzież robi bałwana ze słomy. Następnie zbierają się całą gromadą, zazwyczaj w chacie, z której śmierć ostatnio kogoś zabrała, i stamtąd, niosąc ze sobą bałwana, wyruszają do rzeki. Tu topią go wśród okrzyków zebranych. Jest to oswobodzenie wsi od panowania Zimy. Wyobraźnia ludu łączy topienie bałwana z ukaraniem zdrajcy Pana Jezusa. W niektórych okolicach bałwana takiego nazywają Judaszem. W Wielką Środę lud dokonywa nad nim aktu kary. Przybierają go w szmaty i uwiązane na sznurze wloką przez ulice wsi. Gromada obsypuje zdrajcę szyderstwami, wreszcie, doszedłszy do kościoła, wciągają bałwana na wieżę i przy wtórze drwin wieśniaków zrzucają go na dół.

Podobnie, jak ludowe święto Wiosny kończy okres panowania Zimy, — Wielkanoc zakańcza okres postu. W Wielki Piątek następuje pożegnanie postnych potraw. Żur i śledź, uprzykrzone jadło przez tyle czasu, zostają zakopane do ziemi na znak, że są już zbyteczne. Czasem wnoszą garnek z żurem poza wieś. Niesie go zwykle jakiś chłopak, nieświadomy zwyczaju, gdyż na końcu wsi otaczająca go gromada młodych rozbija mu nagle garnek na głowie. Żur zalewa zaskoczonego tem chłopaka; zapanowuje naturalnie radość, że dał się oszukać.

W powszechnym obchodzie święta wiosny dużą rolę odegrał kult, jakim wszystkie ludy otaczają drzewo. Roślinność, która dorocznie okrywa się kwie-

ciem i owocami, posiada w pojęciu ludu specjalne własności. Świecenie palm, ustanowione przez Kościół na pamiątkę wjazdu Chrystusa do Jeruzolimy, ma swoiste tłumaczenie w wierzeniach ludu. Lud święci palmy, a poświęcone bażki połyka w tem przekonaniu, że nietylko cała palma, ale i jej części mają cudowne własności i zdolne są zabezpieczyć od chorób. Biją się też palmami, mówiąc: „nie! ja biję, wierzbą bije,” jakby zaznaczając, że nie jest to robione z myślą skrzywdzenia; przeciwnie, przez dotknięcie gałązki, zdolnej do życia, wierzą, że przyswajają sobie jej moce ożywcze.

W tym okresie, gdy życie przejawia się we wzroście roślin i drzew, wieśniak zabiega troskliwie, by zapewnić sobie jaknajlepsze plony. Obchodzi więc swoje pola, ogrody i kropi je święconą wodą. Błogosławi także różne zioła, aby ich było pod dostatkiem. Nietylko bezpośrednie zabiegi koło zasiewów przysparzają plonów. Niektóre czynności wieśniaka wywierają również dodatni wpływ. Istnieje, np., przekonanie, że kto pierwszy przybędzie do domu, wracając z kościoła w niedzielę wielkanocną, tego czeka najbilsze zbiory tegoroczne. Ciekawy jest widok powracających z kościoła gospodarzy, gdy jeden stara się wyprzedzić drugiego.

Wiara w cudowną moc drzewa przejawia się też w powszechnym zwyczaju chodzenia z Gaikiem. Gaik, niekiedy zwany Maikiem, jest to zielona gałąź sośniny. Małe dziewczynki, 12—14-letnie, stroją ją we wstążki, bibułki i świecidełka. W Poniedziałek Wielkanocny zbierają się grupami i z radosnymi śpiewami obnoszą Gaik po całej wsi. Idą, niby w pochodzie triumfalnym, niosąc zielone drzewko. Zwiastują, że idzie życie, że słońce znów zacznie darzyć ludzi ciepłem, że małe nasiona, złożone w ziemi, zaczną przeobrażać się w źdźbła, listki i kwiaty.

Dziewczęta, obchodzące wieś z Gaikiem, spotykają się często z chłopakami, którzy obwożą Kogutka. Kogutek, zrobiony z pakuł, przyozdobiony prawdziwymi piórami, umieszczony zostaje na małym, dwukołowym wózekczku. Wokół niego obracają się figurki, wyobrażające wieśniaków, kowali, traczy, ustawione na krążku, poruszonym wraz z obrotem kół. Kogut, zapowiadający nadejście dnia, jest równocześnie zwiastunem światła, słońca, przebudzenia się wiosny. Chłopcy z Kogutkiem, podobnie, jak dziewczęta z Gaikiem, przychodzą do każdej chaty, niosąc radośną wieść o Wiosnie.

Naturalnie, że zwyczaj ten, podobnie jak inne, wyrosły na podłożu istniejącego wierzenia, ulegał zmianom pod wpływem ciągłego rozwoju pojęć i warunków, aż wreszcie przeobraził się obecnie w zabawę młodzieży wiejskiej. W celu przybrania Kogutka, chłopaki chwytają ukradkiem cudze koguty i wyrwywają im piękniejsze pióra.

Dziewczęta zajmują się malowaniem jajek. Pisanki na wsi,—to nietylko ozdoba na stołach ze świę-

conem. Odgrywają one ważną rolę w zabawach młodzieży. Barwne jajeczko, ofiarowane chłopcu przez dziewczynę, jest oznaką, że chłopak jest jej miły: zaczyna się odwzajemnianie z jego strony, w postaci darowanej chustki, koralu; wreszcie przychodzi czas na swaty, które najczęściej prowadzą na ślubny kobierzec. Skorupka jajka kryje w sobie tajemnicę życia, jajko więc pierwsze staje na wstępie do nowej, wspólnej drogi młodych, do nieznanego i niezbadanego przyszłości.

Dbalność ludu o pomnożenie żywego dobytku, która przejawia się już wcześniej w zwyczajach zapustnych maszkar, obecnie zaznacza się powtórnie. Chłopcy przebierają się za niedźwiedzi, bociany i obiegają wszystkie domostwa, wyprawiając różne figle. Poprzebierane postacie mają na celu, przez podobieństwo do zwierząt żywych, wpłynąć na przyrost bydła i drobiu w wiejskich zagrodach.

Wieśniak troskliwy, by w jego chacie niczego nie zbrakło, podobnie, jak na początku roku pragnął zaskarbić sobie przyjazne wpływy urodzaju i spożywał wieczerzę ze wszystkich plonów z ogrodu i pola,—tak i teraz obfitość i różnorodność uczty świątecznej ma mu zapewnić bogactwo zbioru. Gospodyni już od Wielkiego Czwartku krząta się przy pieczeniu ciasta, bacząc, by nikt po izbie się nie kręcił, bo oczami mógłby uroczyć ruszające się ciasto; sama nie siada podczas pieczenia, aby baby dobrze wyrosły. W Wielką Sobotę ksiądz błogosławi święcone, pięknie ułożone w izbach na stole, lub w koszykach, zaniesionych do kościoła. Święcone jadlo posiada specjalną moc, zabezpiecza ludzi od złego, dlatego spożywają je wieśniacy uroczysto, jakby spełniali religijny obrządek.

Kości, pozostałe ze święconego, zakopują niekiedy na polach dla ochronienia ich od burz, lub też dają je psom i kotom, jako zabezpieczenie od wściekłych. Powszechny, nawet w miastach, zwyczaj wzajemnego oblewania się wodą, zwany Dyngusem, Śmigusem, łączy się z wiarą ludu w cudowną moc wody. Obrzędy, związane z wodą, które lud praktykuje na Wielkanoc, mają głębokie znaczenie w tym okresie, ponieważ woda stanowi odżywczą siłę dla wzrastających roślin.

W poniedziałek parobczaki oblewają dziewczęta, za to we wtorek następuje odwet. Młodzież wylewa na siebie pełne kubły wody, niekiedy wrzucają jedni drugim do rzek, sadzawek. Dziewczęta boczają się na chłopców za zbyt obfite oblanie, ale jednocześnie dumne są, bo to dowodzi, że się podobają. W niektórych okolicach chłopcy zanurzają się do wody, czasem wjeżdżają do rzeki z końmi, dla zabezpieczenia od chorób. W tym celu piją też wodę święconą.

W ten sposób obchodzi lud święta Wielkanocne. Jest to wyraz czci dla Chrystusa za Jego Mękę i Zmartwychwstanie, oraz wiara w coroczne odradzanie się Życia.

Janina Tuwanówna.

NAKRYCIE GŁOWY A DACH

Zdawałoby się, że wynaleźć analogię między nakryciem głowy, a nakryciem budynku, byłoby niezmiernie trudno... a jednak, już od najdawniejszych czasów istnieje u najrozmaitszych ras tajemniczy związek między mieszkaniem, a strojem.

Związek ten da się zauważyć zarówno u narodów barbarzyńskich, jak i u najwyżej stojących na szczeblach cywilizacji.

Weźmy najpierw dom taki, jaki znajdujemy w ciągu wieków na stopniu półcywilizacji. Jest on zazwyczaj pokryty dachem, składającym się z dwóch nachylonych płaszczyzn, których zadaniem jest ochrona fasad od zmian atmosferycznych.

Właśnie i w nakryciach głowy, najbardziej logicznych i najczęściej używanych—denko, pokrywające głowę, bywa otoczone kresami, które chronią twarz od zbyt żywych ataków słońca, lub od deszczu. Takie nakrycie głowy, ów pierwotny kapelusz oparł się, mimo swej prostoty, burzącemu działaniu wieków i rewolucji. Nie gardzi nim, spędzający czas na ciągłych włóczęgach, ruchliwy Merkury. Stroi się weń pasterz słodkiej Arkadii, a za jego przykładem idzie rolnik rzymski i wieśniak nowoczesny,

Znajduje się go w kolorze czerwonym na głowach kamargijczyków, i w czarnym—na głowach milczących celtów, zamieszkujących czarne wzgórza. Bez żadnych zmian przechował się na głowach naszych górali.



1. Dach składa się zazwyczaj z dwóch płaszczyzn A, kryjących budynek. Płaszczyzny te kończą się okapami A', chroniącymi fosadę. 2. W każdym, logicznie sporządzonym, nakryciu głowy znajdujemy denko B, które okrywa głowę, i kresy B', chroniące twarz. 3, 5, 7. Chaty i szałas sudańscy. 4, 6. Kapelusze z plecionej słomy, używane przez mieszkańców Mikronezji i Melanezji.

8. Dom kirgiski na drodze taszkenckiej. 9. Kapelusz wieśniaka chylijskiego, pochodzący od starożytnych Araucanów. 10. Grób Absalona w Dolinie Jozafata. 11. Dziewczę z Tanagry, przystrojone w tessalijską kausję.



12. Czołko matrony greckiej. 13. Fronton świątyni greckiej. 14. Japończyk z ludu. 15. Część szczytowa budynku japońskiego. 16, 17. Czapki chińskie. 18. Dach kiosku chińskiego. 19. Strój głowy regenta koreańskiego. 20. Strój głowy aktorów sjamskich. 21. Wierchołek „pnomu” w Kambodży.

Rasy prymitywne kontentują się jeszcze mniej. Nie umiając wznosić domów, zadawałają się stożkowatymi szałasami. I równolegle ich nakrycie głowy składa się ze zwykłego stożka z plecionej słomy.

U koczowników, których mieszkanie zostało zredukowane do przenośnego namiotu, widzimy balonowate nakrycie, przypominające kopułę meczetu, będącą ze swej strony pomniejszonym obrazem sklepienia niebios.

Wyobrażenie meczetu wpływa także na kształt hełmu bojownika saraceńskiego: święte azylum idzie z nim aż na pole bitwy.

Również rycerze Krzyżowi—owi waleczni, rzucający ojczyznę, dom i rodzinę, aby odebrać ziemię świętą z rąk niewiernych—nosili hełmy, których sylwetka ogromnie przypomina owe ciężkie, zębate wieże potężnych zamków XII i XIII wieku.

Gdy zwrócimy się ku rasom osiadłym, sławnym przez swe wysoce artystyczne obrabianie kamienia i marmuru—zauważymy podobne zjawisko.

Znaną jest, np., powszechnie elegancka „causia”, pokrywająca głowy małych statuetek z Tanagry. Urocze panie, służące im za model, unieśliły na swych zgrabnych główkach nie co innego, jak bardzo często spotykany w Palestynie motyw architektoniczny, którego najpiękniejszy okaz, znany pod nazwą „Grobowca Absalona”, można po dziś dzień oglądać w dolinie Jozafata.

Również piramidalne kaski aktorów sjamskich są niczem innym, tylko pomniejszoną kopją wież, wznoszących się nad pagodami Kambodży.

(d. n)

Z. Z.

R. PELANTOWA

WYCHOWANIE NOWOCZESNEJ GOSPODYNI

(„Nowa Práce“ R. VIII. Nr. Nr. 6 i 7 — z upoważnienia inż. K. H.)

Pracę uniwersytetów gospodarstwa domowego popiera bardzo żywo ministerstwo rolnictwa w Washingtonie, które ma specjalny departament gospodarstwa domowego, z oddziałami dla studjów nad włókiennictwem, nad odżywianiem, mieszkaniem i oszczędnością w gospodarstwie domowym.

Oddział włókienniczy bada wytrzymałość rozmaitych materyj, znajdujących się na rynku włókienniczym, trwałość kolorów, sposoby prania, krochmalenia, prasowania; zestawia podług tego wzorki wraz z oceną przedmiotu i rozsyła je zadarmo szkołom i pracownikom rolnym.

Tutaj również wypróbowuje się proste kroje, praktyczne sposoby wykończania szycia bielizny (obrębianie, obrobienie dziurek, szycie zakładek, falbanek) na różnych maszynach, które firmy zadarmo temu zakładowi dostarczają.

Oddział odżywiania bada wpływ różnych potraw na organizm ludzki — wyszukuje najlepsze sposoby konserwowania potraw, przemiału mąki, kwaszenia i pieczenia chleba. Swoje doświadczenia szerzy ulotkami i broszurami, w szkołach i wśród gospodyń.

Oddział mieszkaniowy bada oszczędne urządzenie domu, wszystkie nowe odkrycia kuchenne; szerzy propagandę skromnego i praktycznego, a jednak artystycznego umeblowania mieszkań.

Oddział gospodarczy trudni się badaniem gospodarstwa domowego, podziałem pracy, zakupami, wydatkowaniem pieniędzy i t. p. W tym celu rozsyła ankiety do kół gospodyń. Na pytania ankiety odpowiadają pracownice, posyłają je zpowrotem do zakładu, który je opracowuje, poznając zarazem różne błędy gospodarstwa domowego, i dochodzi do pewnych wniosków, podług których może kierować dalszemi pracami.

Uzupełnieniem działalności uniwersytetów i departamentu w ministerstwie rolnictwa są „Stowarzyszenia gospodarstwa domowego” (Home Economic Associations), które istnieją prawie w każdym stanie. W ubiegłym roku stowarzyszenia te urządzały „Tydzień lepszego mieszkania”. W tym celu wystawiono wzory domków rodzinnych, które pokazały, że można wybudować domek za przystępną cenę, a do tego skonstruowany według zasad oszczędności kroków, pracy, i czasu. Przez cały tydzień odbywały się odczyty, na których specjaliści zajmowali się poszczególnymi zagadnieniami mieszkaniowymi. Rozpoczęli od tego, jak uzyskać i amortyzować pożyczkę na domek, a skończyli na urządzeniach kuchni i ogrodu.

Oficjalnym organem tych stowarzyszeń jest „Journal of Home - Economics”, śliczny miesięczny przegląd na stu stronicach, który poważnemi naukowemi artykułami wychowuje swoje czytelniczki i zaznajamia je z wynalazkami i doświadczeniami w zakresie gospodarstwa domowego.

Nietylko uniwersytety, stowarzyszenia i kluby zwracają w swoich artykułach uwagę na pracę kobiet, lecz i cały szereg ilustrowanych tygodników, jak: „Ladies Home Journal”, „Designer”, „Good Housekeeping” i inne drukują dużo dobrych artykułów i studjów z zakresu gospodarstwa domowego, gotowania i wychowania dzieci. Niektóre z tych tygodników mają specjalne laboratorja, kierowane przez odpowiednie specjalistki. Tak dla „Designer” robi badania pani Frederick.

Czasopismo „Good Housekeeping” ma swój własny zakład doświadczalny, założony przed 15 laty. Wówczas mieścił się w jednej salce, a swoje prace rozpoczął od badania „sinku”, t. j. stołu do zmywania. Rezultat był naprawdę wspaniały. Dzisiejszy „sink” ma idealną wysokość, daje się łatwo czyścić, nie można go rozbić, zaopatrzony jest w zimną i ciepłą wodę; przy nim jest krzesło, by usiąść przy pracy, nad nim — pojedynczy aparat do mycia naczyń, lub wprost w nim przyrząd do mycia i suszenia. Mycie stało się zabawką, a ręce gospodyni nie są zmuszone dotykać zatłuszczonych półmisek.

Zakład zajmuje obecnie całe piętro obszernego drapacza nieba. Pierwszy przedział, do którego wchodzimy, to pralnia. Jest tu mnóstwo naczyń do płókania, pełno maszyn do prania, pełno rozmaitych wżymaczek i wieszaków na bieliznę. Są tutaj i różne gatunki żelazek, desek i maszyn do prasowania, a wszystko to najnowszego systemu.

Kuchnia zadziwiłaby was mnóstwem pieców gazowych, elektrycznych i naftowych. Błyszcząca powierzchnią lakierowanych stołów i całego urządzenia, kusi poprostu, by zabrać się wesoło do pracy z temi wszystkimi dobrymi wynalazkami. Doświadczona robotnica bada właśnie nowo - wynalezioną maszynę do mieszania i manometryowy garnek, w którym się mogą gotować trzy potrawy naraz. Zwraca naszą uwagę przybór stołowy, cały z białej emaljowanej blachy, i elektryczna lodownia, która sobie sama lód wyrabia.

Następny oddział należy do mężczyzn. Inżynierowie badają tutaj najnowsze sposoby centralnego ogrzewania, opalania; nowe przyrządy do wchłaniania kurzu; rozbierają maszyny do prania i mycia, aby zbadać solidność konstrukcji. Rządzą wszystkimi temi elektrometrami, gazometrami i manometrami. Każdy wynalazek — od zwykłego kołka na bieliznę, aż do najnowocześniejszego systemu centralnego ogrzewania — musi być zbadany przez doświadczonego inżyniera i praktyczną gospodynię, zanim na mocy ich orzeczenia dostanie znaczek zakładu — czerwoną gwiazdkę, —

z którą może zwycięsko puścić się w świat, by ulżyć zamęczającym się gospodyniom.

Tak więc uniwersytet, czasopisma, przemysłowcy i poszczególne jednostki pracują, ażeby przygotować gospodynię do jej obowiązków i, o ile to możliwe, ulżyć jej doli.

Wpływ Ameryki szerzy się i na Europę, która stara się dogonić to, co zaniedbała. We wszystkich europejskich państwach spostrzegamy ruch, by gospodarstwo domowe uprościć i by dać kobietom wyższe wykształcenie gospodarcze. Szkoda, że niema u nas uniwersytetów i specjalnych zakładów naukowych, lecz z czasem i to przyjdzie. Tymczasem powstają stowarzyszenia gospodarcze, urządza się zjazdy, wystawy, wydaje się specjalne czasopisma i pracuje nad pogłębieniem wiadomości gospodarczych. W szkołach wydziałowych zakłada się „szkoły rodzinne”, które z biegiem lat ściągają do siebie siły z uniwersyteckim wykształceniem.

W Austrii urządzono roku zeszłego wystawę oszczędnego gospodarowania. Przy tej sposobności wydano specjalny almanach z kilku cennymi odczytami, spisem wszystkich szkół dla badań gospodarczych i ze spisem przyborów do oszczędnego gospodarowania.

Francja urządziła tego roku w lutym zjazd gospodyń i wystawę oszczędnej gospodarki; na tę wystawę dwadzieścia amerykańskich firm nadesłało wzorowo urządzony dom, w cenie 100,000 dolarów, zaopatrzone w najnowsze i najdoskonalsze wynalazki. Dom ten pozostał we Francji, a „Związek francuskich gospodyń” zapytuje, komu będzie ofiarowany, gdyż chciałby, by jemu powierzono pieczę nad nim, ponieważ w jego programie leży praca nad uproszczeniem gospodarstwa domowego i nad wykształceniem gospodyń. Tam odbywałyby się kongresy, wystawy, kursy dla naukowego kierowania pracami gospodarczymi.

Kończę jedynym życzeniem, ażeby taki dom ofiarowali Amerykanie i nam. My także urządzilibyśmy zjazdy, wystawy, kursy i pracowali nad uwolnieniem kobiety od zbytecznego jarzma.

Przełożyta z czeskiego M. R.

KIEDY I JAK PODAWAĆ WINA

Powoli wracamy do normalnych warunków i dążymy do pozbycia się brzydkich, powojennych nałogów. Trucicielka-wódka, przyczyna wielu nieszczęść w rodzinach, od jakiegoś czasu wszechwładnie królująca na stołach, schodzi na drugi plan: ogranicza się jej używanie do jednego, najwyżej dwóch małych kieliszków przed jedzeniem. Na większych przyjęciach stanowczy jest zwrot do wina, szczególnie, jeżeli mają mieć charakter wykwintny. Nie można, bowiem, zaprzeczyć, że wino nadaje szlachetną i poważną cechę biesiadzie. Jak wspomniałam powyżej, wina w ostatnich czasach były prawie zupełnie nie używane, będzie zatem pożytecznie przypomnieć, kiedy i jak się je podaje.

Wina, zastępujące zagranicą wódkę, to jest te, które pije się przed jedzeniem: Vermouth, Porto, Madeira, St. Raphael powinny mieć temperaturę pokojową. Wina czerwone, Burgundzkie i Bordeaux, zyskują na lekkim ogrzaniu do 18°; wszelkie gatunki białych win podaje się bardzo zimne, a szampańskie — mrożone. Mamy tyle wytwórni krajowych win, że przy mniejszych uroczystościach doskonale obejść się możemy bez drogich, zagranicznych; na wielkich jednak obiadach i oficjalnych przyjęciach lepiej dać mniej wina, a w wysokich gatunkach. Używane obecnie kieliszki do wina są duże i głębokie, aby znawcy i prawdziwi amatorowie wina mogli rozkoszować się jego aromatem, zebrany w kieliszku, nalany do połowy, chroniącym zapach wina od rozwiania się w powietrzu.

Przed wojną na proszonym obiedzie lub kolacji podawano mnóstwo gatunków win, dziś wyszło to z użycia. Prostota, do której dążymy we wszystkim, i tu zredukowała nasze wymagania. Nie podaje się do każdej potrawy innego gatunku wina, ale od początku obiadu w wyborowym gatunku czerwone burgundzkie, albo Bordeaux, w odpowiedniej temperaturze, i białe francuskie, Latour Blanche, Haut Sauterne bardzo zimne, od pieczystego zaś — szampana.

Tyle jest na szerokim świecie firm, produkujących wina i fałszujących je, że trudno w nich się zorientować i komuś niewtajemniczonemu wybrać godną zaufania. To też, robiąc większe zakupy, trzeba kierować się opinią przedstawiciela. Aby nie paść ofiarą falsyfikatów, francuzi w wielkich okazjach od początku do końca obiadu podają tylko szampana, którego dobrze znane od dawna marki pewniejsze są i trudniejsze do podrobienia, trzymając się zasady, że podczas jedzenia, podaje się szampana wytrawnego (sec), a przy deserze słodkiego. Przy otwieraniu butelek, które do ostatniej chwili powinny stać w naczyniu z lodem, trzeba unikać „strzelania” korków: jest to w złym tonie i nie uchodzi przy poważnym zebraniu. Ująwszy butelkę przez serwetę, przecina się drut, przytrzymujący korek, a następnie wyjmuje się go bez korkociąga, obra-

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów **Dr. J. ŚWITALSKIEJ**

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Maść na łupież. „Mój krem” tłusty i suchy, „Mój krem przeciw zmarszczkom „Mój puder”, Krem cytrynowy. Krem poziomkowy, Galaretka na rozszerzenia porów i łojotok. Perelki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmro'eniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe i lilijowe, Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

cając lekko. W miarę zamrożony szampan nie pieni się i nie ucieka ze szklanek przy nalewaniu — nalewa się go wolno po szkle, do połowy szklaneczki, aby wykorzystać cały jego aromat. Do wina szampańskiego rozstawia się na kryształowych miseczkach migdały, prażone w soli, które przyrządza się w sposób następujący:

Na 40 deka migdałów bierze się 40 deka miałkiej soli; migdały, sparzone, obciążone z łupinek, wypłukane i wilgotne, sypie się z solą na patelnię aluminiową, stawia na ogniu i miesza łyżką, dopóki nie przestaną trzaskać i nie nabiorą różowawego koloru; wtedy wyjmują się z soli i układają, nie otrząsając z niej.

Nie każdemu wiadomo, że dobroć tych samych gatunków win zależy od roku, w jakim były jagody zbierane, i że nie z każdego roku te same gatunki win są jednakowo dobre. To też, kupując większą ilość wina, np. sprowadzając beczkę, trzeba zwrócić na to uwagę i nie zrażać się wyższą ceną, opłaci się ona bowiem sowicie.

Kogo nie stać na zagraniczne wina, może zastąpić je najlepszymi krajowymi, stosując temperaturę i sposób podawania, jak do zagranicznych. Od pieczonego podaje się wtedy dobry, mocno ochłodzony kruszon na pomarańczach, z krajowego wytrawnego wina, z dodaniem do dzbanka dużego kieliszka dobrego araku albo maraskina. Można także podać od początku obiadu wino białe i czerwone w karafkach, oraz zamrożoną wodę gazową—taki szampan domowy jest bardzo orzeźwiający, ale uchodzi tylko w lecie i tylko w najbliższym kole znajomych. J. S.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

BIGOS Z RESZTEK MIĘSIWA

Ze stołu ze święconem Wielkanocnem schodzi zwykle dużo resztek mięs rozmaitych, często w postaci zbyt przysuszonych skórek i niedokładnie okrajanych kości. Zwykle pozostaje też cały tłuszcz od szynki, którego się wprawdzie używa do przysmażania kartofli, lub na pierożki drożdżowe „szpekuchy“, jednak cały trudno od razu zużyć, a stać długo nie może, gdyż jest gotowany. Otóż należy pokrajać w drobną kostkę wszystkie pozostałe resztki mięsiwa; im większa jest ich różnorodność, tem bigos będzie lepszy; szczególnie należy uważać, aby sporo było słoninki od szynki i tłustego wola od indyka. Na kilo takiego mięsa zrumienić sporą łyżkę masła, podsmażyć z dwiema łyżkami mąki, rozprowadzić rosołem lub wodą, dodać szklankę sosu, pozostałego przy pieczeniu mięs (który starannie trzeba zlewać w polewany garnek i trzymać na chłodzie), zagotować razem, włożyć w ten sos mięso, obrany i pokrajany w paski ogórek kwaszony, dusić razem dobrą godzinę, uważając, aby się nie przypaliło. Posolić do smaku, wsypać łyżkę cukru, lub, gdyby bigos miał nieładny kolor, wlać łyżkę karmelu, nakoniec włożyć pół szklanki śmietany i za-

grzać tylko razem, nie gotując więcej. Chcąc mieć tę potrawę ostrzejszą, można włożyć, dusząc, pieprzu i ziela w ziarnach, listek i parę łyżek octu, nie jest to jednak konieczne. Podawać bardzo gorące i do tego kartofle z wody lub utłuczone, lecz nie okraszone, gdyż sam bigos jest bardzo tłusty.

BUDYŃ Z BABKI

Po świętach pozostaje nieraz tyle ciast drożdżowych, że ich zjeść nie sposób, tembardziej, że najsmaczniejsze rzeczy prędko się przejadają, a najwykwintniejsze ciasta jednak z czasem czerstwieją. Otóż doskonałym zużyciem takiej czerstwej babki jest budyń. Formę budyńową wysmarować masłem, wysypać bułeczką tartą i układać w niej szczerlnie kawałki czerstwej babki, przesypując rodzynkami bez pestek, figami krajanymi, lub drobno pokrajaną skórką pomarańczową, smażoną w cukrze,—tem, co mamy w danej chwili pod ręką. Wziąć mleka, w zależności od formy, np. na litrową formę przeszło dwie szklanki, rozbić z trzema jajami, jeśli ciasto niezbyt słodkie, dodać parę łyżek cukru, zalać tem babkę, aby zupełnie objęło. Forma nie powinna być zupełnie pełna, aby budyń miał gdzie brzęknąć. Formę nakryć pokrywą i wstawić w drugi, większy rondel z gotującą się wodą, która nie powinna dochodzić na dwa palce do pokrywy, aby wrząca woda nie dostała się do środka formy. Gotować tak godzinę, potem budyń wyrzucić na półmisek i wydać z sosem śmietankowym, zaciąganym żółtkami i wanilią, z szodonym, lub nawet z jakim sokiem owocowym, czy zimnym syropem.

GRZANKI Z PLACKA

Czerstwy placek wielkanocny, który już przestał smakować, można zużyć na wyborne grzanki. Pokrajać placek na zgrabne kawałki grubości palca, każdy kawałek zamaczać chwilę w mleku (jaj dodawać nie trzeba, gdyż ciasta świąteczne mają ich w sobie dosyć), ułożyć na talerzu aby grzanki, nieco wybrzękły i wessały w siebie mleko, gdyż mokre zbyt przystawałyby do patelni. Smażyć je przed samem podaniem na rozpuszczonem niesolonem masle; gdy się z obu stron zrumienia, położyć na każdej plasterek smażonego dużego owocu (ananasa, pomarańczy, jabłka i t. p.), lub łyżeczkę konfitur z drobnych owoców i gorące podawać. Można do nich podać sos śmietankowy, zaciągany wanilią i żółtkami, lub śmietanę bitą z wanilią i cukrem. Najsmaczniejsze są grzanki z pomarańczami i ananasem; można do nich podać sos szodony, a będziemy mieli wykwiłne danie.

Pani Elżbieta.

NOWOŚĆ! FARBY DO TAMPONOWANIA NA TKANINACH

Wszelkie farby do malowania na tkaninach i na skórze, do liworyzowania, batikowania, oraz wzory poleca w wielkim wyborze.

JULJAN BUROF

Nowy-Świat 47. WARSZAWA. Tel. 36-44.

BEZPŁATNE POKAZY malowania wszelkimi technikami w czwartki, godz. 5 do 6. Wysyłka towaru za zaliczeniem. Cenniki na żądanie.

DOBRE RADY

Każde mięso trzeba krajać nie wzdłuż, lecz wpoprzek włókien: jest smaczniejsze i łatwiejsze do strawienia. Czy to pieczeń, czy szynkę — trzeba krajać w plastry cienkie, a szerokie i ułożyć kawałki ładnie w całość. Ważnym czynnikiem do ładnego pokrajania mięsa jest cienki, długi, ostry nóż. Po ułożeniu mięsa trzeba brzegi półmiska przybrać sałatką i różnymi piklami — ładne podanie dodaje apetytu.

* * *

Naczynia szklane i kryształowe trzeba myć tylko w zimnej wodzie: od gorącej tracą blask i robią się matowe. Karafki do wina, rzadko używane, czyszczą się zapomocą listków herbaty, któremi napełnia się karafkę do połowy, dodając trochę wody i łyżkę zwyczajnego octu. Potrząsać mocno butelką, a po wyrzuceniu listków, płókać wodą z octem, lub spirytusem z wodą, póki czysta nie zostanie. Rznięte szkła dobrze jest myć ługiem z drzewnego popiołu, z dodatkiem odrobiny soli.

KORESPONDENCJE

Pani W. M. — Kraków. Podręcznik, raczej broszurka o trykotarstwie, wydana jest przez firmę J. Berg (Warszawa, Czackiego 8). Sprzedają go jedynie osobom, nabywającym u nich trykotarskie maszyny.

Pani H. B. — Chworosno. O desenie na kilimy, dywany, portjery niech się Sz. Pani zwróci do firmy Rozmanit (Warszawa, Ossolińskich 8), albo do szkoły p. Onichimowskiej (Krucza 19).

Pani St. M. z Lubaczowa. Pantofelki najmodniejsze są w kolorach kremowo-piaskowych, pasujących do wszystkiego — poń-

czoski w cieniach palonego migdała. Kapelusz, kolorem dobrany do pantofelków — najlepiej filcowy z główką bastową — torebka z takiej samej skórki, jak buciki. Przy skromnych, gładkich, dziesiąj noszonych kapeluszach trzeba kupować je w dobrych firmach, a starczą na dłużej, niż na miesiąc.

Pani M. N. — Libiąż. Na list otrzymany poraz pierwszy, uprzejmie odpowiadamy, że opis kompletnej wyprawki dziecięcej znajdzie Sz. Pani w Nr. 6 „Dziecka i Matki”. Książka o wychowaniu niemowlęcia, pod tytułem „Higjena noworodka i niemowlęcia” — dr. Cieszyńskiego, sądzę, że odda Sz. Pani znakomite usługi.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecięce	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu”, nie wysyłamy

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Napoje gorące“

SPOSOBY PRZYRZĄDZANIA KAWY, HERBATY I INNYCH NAPOI GORĄCYCH.

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Czyszczenie płam“

SPOSOBY WYWABIANIA PŁAM Z WSZELKICH MATERJAŁÓW

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99, Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.